№ 39 Warszawa, dnia 15 (27) Września roku 1879.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY.

przez **Stefana Marusińskiego.**

(Dalszy ciąg).

Sint 27 Października 1878.

Już od kilku dni jestem tutaj ponieważ interesa mię zatrzymują. Podróż z Kairu odbyłem dzięki Bogu szczęśliwie i zdrowo, po drodze zwiedziłem dużo starożytności i widziałem wiele ciekawych rzeczy. Jak długo tu zabawię nie wiem jeszcze, interes mój osobisty idzie dobrze, już mam nawet trochę grosza, jedynie tylko wczoraj odebrana depesza niebardzo dobre przyniosła wiadomości. W Londynie bowiem olbrzymie bankructwa na porządku dziennym, przed samym wyjazdem z Aleksandryi, słyszałem na giełdzie o upadku pięciu domów handlowych z któremi interes nas łączył; straciliśmy dużo, lecz jeszcze nie było bardzo źle, dziś jednak gdy coraz więcéj bankrutują być może iż Szef będzie zmuszonym zawiesić wypłaty i interes zamknąć. Do tego wszystkiego dwa statki z towarami naszemi zatonęły na wybrzeżach indyjskich, nowa strata, jeden bowiem nie był ubezpieczony. Dałby Bóg żeby się to zmieniło, lecz wątpię bo polityczne wiadomości z Afganistanu są niepokojące i nadzwyczaj źle wpływają na handel. Co się mnie dotyczy to wprawdzie przykro jest iż może stracę miejsce tak korzystne, lecz z drugiéj strony dzięki Bogu nieźle mi się powodzi a im daléj pójdę tem mam więcéj nadziei. Żal mi tylko naszego interesu bo Szef bardzo godny człowiek, lecz co robić jak nieszczęście przyjdzie to ze wszystkich stron naraz.

Nie uwierzycie drodzy moi wiele milionów funtów szterlingów pochłonęła ta krizis. Domy handlowe od stu i więcéj lat egzystujące, uważane za bardzo bogate, pozawieszały wypłaty: w głowie mi się to pomieścić nie może. Zdaje się że nowa wojna stoi tuż przede drzwiami. No trudno, nic na to nie poradzę, dobrze przynajmniéj iż w takim jestem położeniu materyalnem, że téj straty nie odczuję tak bardzo, jak to mogłoby miéć miejsce gdyby katastrofa ta wcześniéj nastąpiła.

Co się dotyczy méj podróży to takową odbywałem powoli, bo wiatr nie był pomyślny, i zwiedzanie rozmaitych osobliwości zajęło mi trochę czasu. Po drodze natrafiałem na bardzo dobrych ludzi mianowicie w cukrowniach, których tu jest wiele: byłem wszędzie przyjmowany z otwartemi rękami, chemicy, mechanicy i inżynierowie wszystko to są Francuzi lub Anglicy, byli więc bardzo radzi miéć kogoś u siebie z kim mogliby rodzinnym językiem porozmawiać. Najlepsze wina i przysmaki są na moje przyjęcie. Poszło się téż czasem i na polowanie, jest tu bowiem teraz bardzo wiele dzikich gęsi, kaczek, bekasów, gołębi i t. p. tak że nawet niewiele pieniędzy wydałem na siebie: tem lepiéj. Koleją jechać nie mogłem, gdyż skutkiem nadzwyczajnego wylewu Nilu koléj żelazna przerwana, i dopiero za parę miesięcy znów będzie można jechać.

Jakiż to piękny kraj ten Egipt, z jednéj strony pustynia i z drugiéj także, w środku tylko wązki skrawek ziemi na milę lub najwyżéj $1\frac{1}{2}$ szeroki, przedzielony Nilem na którego brzegach wśród palm leżą wioski i miasteczka arabskie. Gdzie woda już opadła zieleni się trzcina cukrowa, bawełna, durrah lub indygo, w pośród tych pól stada owiec, kóz i wielbłądów, pasą się swobodnie, przy nich pasterze z zakrzywionym kijem i w ubiorze jak Abraham się nosił. Doprawdy, zdaje mi się czasami iż jestem w Niegardowie i oglądam obrazki z Biblii X. Fi. Cicho tu bardzo, pięknie i swobodnie, a gdy noc przyjdzie i miliony gwiazd zaświecą, to zwracam się na północ tam gdzie wóz błyszczy i całem sercem jestem w domu i myślę długo, długo o was wszystkich moi drodzy, a o nic Boga nie proszę tylko o najlepsze zdrowie dla Rodziców i o szczęśliwe i swobodne życie. A ze swéj strony nie troskajcie się o mnie proszę, bo zdrowie służy mi wybornie, a im więcéj gorąco tem się lepiéj mam. Kilka nocy już przespałem na gołéj ziemi zawinięty w derkę, i wybornie mi się spało. Zresztą nie jest tu tak strasznie jakby się zdawało, ot i poczty są, i listy przesyłać i odbierać mogę, są téż dość często klasztory. Dziś jako w niedzielę byłem na mszy św. u Franciszkanów, kościołek wprawdzie malutki, lecz Boże! jak mi téż błogo było gdym się tam znalazł. Jutro zamierzam pójść do księży z wizytą. Na mojéj drodze będę spotykał jeszcze klasztory katolickie, a wszyscy zakonnicy są tu bardzo godni ludzie.

Jeżeli szczęśliwie przybędę do Cartum to mam nadzieję dostania tam miejsca u jednego Anglika, do którego listy rekomendacyjne posiadam. Wolałbym wprawdzie zostać w interesie, lecz wątpię bardzo bo i Agent nasz z Aleksandryi to samo mi pisał z dodatkiem że i on już tam nie jest. Zapewne tymi dniami dostanę i ja ostatnie rozporządzenie i listy z Port-Said, chociaż pensyą z góry mi dano i podróż opłacona.

No, lecz dosyć o tem co się stało odstać się nie może, wprawdzie z początku było mi to przykro, lecz rozpatrzywszy się lepiéj widzę że, i tak nie zginę i dam sobie radę na wszelki wypadek.

(d. n.)

WZGARDZENI.

Wiosną na zielonéj łące
Stał oset suchy i dziki,

Stroniły odeń słowiki,
Bławaty, maki kwitnące.

I tylko biedna pokrzywa
Do jego tuli się łona:
— Weź mnie, jam także wzgardzona,
Z tobą ja będę szczęśliwa!

— Odejdź! jam dziki, milczący,
Całując ciebie pokłuję,
Jadem twój żywot zatruję,
I w końcu przekliniesz niechcący!

— Weź mnie, jam cierpiéć gotowa,
Źle mi na świecie samotnéj,
Czy słońce, czy dzień wilgotny,
U mnie się radość nie chowa!

— Smutek weselem we dwoje,
Weź mnie, ja cierpiéć chcę z tobą,
Podzielim się swą żałobą;
Radości złączymy swoje!...

Zbiegła im wiosna kwitnąca,
Na targach miłosnych żywo,
Byłaż pokrzywa szczęśliwą
Do ostu tuląc się drżąca?...

I przeszło lato we dwoje,
Aż w smutnéj, cichéj jesieni,
W wiecznym uścisku splecieni,
Spoczęli razem, oboje!...

Pokrzywa wyraz tak miły
Ma w licach, zda się, iż marzy,
Oset zaś uśmiech na twarzy
Z maków co odeń stroniły!...

Julian Łętowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

Na czarodziejskiem tle Wenecyi mogło się serce na chwilę rozczulić, ale na widok upadku strzechy rodzinnéj uczuły wyrzuty że inaczéj się nie stało... A żal tu wzmagał się za każdym krokiem, z każdą chwilą, która nowe rysy walącego się gmachu odsłoniła.

Flaminia odgadła żal ten sercem kobiecem i płakała gorzko w skrytości. Na pozór jednak nie okazywała tego. Przeciwnie starała się rodzicom okazać zawsze jak największe przywiązanie jak najczulszą miłość. Odgadywała ich życzenia i starała się zadość im uczynić. Była ich najpierwszą sługą a obowiązki swoje wypełniała z ową subtelną delikatnością, która nigdy nie okazuje ile te obowiązki kosztują.

Jedynem źródłem pokrzepienia była dla niéj miłość Maryana. Patrzała wprawdzie z uwagą na niego, śledziła zmarszczki jego czoła czy te zmarszczki z jéj winy tak się nie dostały. Zawsze jednak upadały jéj obawy, bo przekonywała się, że Maryan kocha ją takiem samem gorącem uczuciem, jakiem ją wtedy kochał, gdy jéj to uczucie swoje po raz pierwszy wyznał. Podwajała więc za to w nagrodę miłość swoją obsypywała go pieszczotami i w szczęściu jego czuła się szczęśliwą...

Owe zmarszczki na czole Maryana pochodziły z innéj przyczyny. Były to po prostu kłopoty upadającego majątku. Upadek ten już nie od dzisiaj zawieszony był jak miecz Demoklesa nad głową Maryana, ale dotąd odwlekał go jak mógł wszystkiemi swemi siłami. Smutne wydarzenie z panem Krzysztofem i wypłacenie Elizie części posagu znacznie ten stan pogorszyło. Jedyną dzisiaj nadzieją było częściowe rozparcelowanie gruntów i sprzedaż takowych włościanom. Operacya ta jednak potrzebowała dłuższego czasu: porozumienie się z wierzycielami ciążącymi na całéj hipotece, było dosyć kłopotliwe a różne prawniczo-sądowe formalności były tego rodzaju, że prędzéj jak mówią, rosa mogła oczy wyjeść niżeli słońce by zeszło. A tu znowu nieubłaganie zbliżał się straszny termin Goldfisza, po którym terminie miało nastąpić albo wywłaszczenie lasu za bezcen, albo przyznanie kary konwencyjnéj za każdy dzień zwłoki, kary, która była wprost zabójstwem.

Śród tak przykrych warunków nie tracił jednak Maryan nadziei, że plan swój do skutku doprowadzi, że nie mogąc utrzymać całego majątku utrzyma przecież część jego z dworem, gdzie tyle przechowywało się tradycyi... A do tego szczuplejszego zakresu trzeba się było przygotować oszczędnością zawczasu, aby potem chléb gorszy nie bardzo kłół w zęby...

W innem jednak świetle widzieli rodzice te kłopoty i usiłowania Maryana. Mniemali, że te utrapienia jego pochodzą z kroku nierozsądnego, jakim było ożenienie się z biedną osobą. Mieli nawet litość nad tem mniemanem zmartwieniem jego a patrząc na Flaminię wzdychali i z jakąś niemą prośbą czy skargą podnosili oczy do nieba.

Maryan domyślał się trochę co znaczą te wszystkie giesta i westchnienia. Aby wszelkie pedejrzenie od siebie oddalić, okazywał Flaminii w obec rodziców jak największą czułość i miłość bez miary. To uszczęśliwiało wprawdzie Flaminię ale na rodzicach wywierało skutek przeciwny. W duchu tém większy żal czuli do kobiety, która umiała nad Maryanem tak demonicznie zapanować.

XXXVI.

Taki stan rzeczy trwał kilka miesięcy. Pod koniec lata powróciła Eliza ze swoich wycieczek i przyniosła z sobą nader poważną francuzkę z siwemi lokami, którą w Paryżu przybrała sobie za dame de compagnie.

Nic innego z sobą nie przywiozła. Nawet owa torebka z zamkiem podwójnym była znacznie lżejsza niżeli w Wenecyi po wyjeździe pana Krzysztofa.

Coś jednak przywiozła z sobą młoda wdowa. Był to zły humor, który jako wkładkę ze swojéj strony dorzuciła do wszystkich dworskich złych humorów. Przez kilka dni skarżyła się na świat na ludzi, a osobliwie mężczyznom miała bardzo wiele do zarzucenia. Biedna Flaminia jak mogła koiła jéj żal do świata, całowała i ściskała jak ongi w Wenecyi, gdy gołąbki św. Marka na ramionach jéj siadały, ale żal młodéj a życia chciwéj jeszcze wdowy był nieuleczony. Wszystko widziała czarno a w szarych godzinach mówiła nawet o instytucyi Kanoniczek.

Z tego humoru siostry swojéj wnosił Maryan że wszelkie jéj marzenia, jakie przywiązywała do swoich wycieczek, rozbiły się ostatecznie. Miał nawet słuszne powody do mniemania, że przy stracie tych marzeń odniosło prawdopodobnie i serce jéj jakąś ranę, która ją jeszcze bolała. Z tego stanu postanowił skorzystać. Rozżalone serce kobiety mogło być teraz wrażliwsze na uczucia szlachetniejsze, mogło już nie pragnąć więcéj owego szychu które je dotąd olśniewał. Maryan pomyślał o panu Krzysztofie.

Myśl ta jednak miała niebezpieczne szkopuły. Jakkolwiek Maryan mógł być teraz zadowolony z rozczarowań i złych obliczeń siostry swojéj, miał jednak za wiele serca, aby podobne uczucie mogło mu być przyjemnem. Przeciwnie życzył siostrze jak najlepiéj, i nad tem teraz tylko przemyśliwał, aby myśl swoją o panu Krzysztofie podsunąć jéj w sposób delikatny, któryby jéj godności kobiecéj ani miłości własnéj nie obrażał.

Nie była to jednak sprawa tak łatwa. Powrót do pana Krzysztofa był zawsze dla kobiety kapitulacyą haniebną, a Eliza miała w tym względzie wiele dumy i pychy, jakiéj nieraz dawała dowody. Postanowił więc jak najostrożniéj zbliżać się do niéj z tą myślą.

Jedna rzecz cieszyła go w téj sprawie. Kwaśny humor Elizy dawał się wszystkim we znaki z wyjątkiem Maryana i Flaminii. Była dla nich nadzwyczaj serdeczną. Z Maryanem osobliwie rozmawiała z wielką czułością. Kilka razy nawet zawołała go na szarą godzinę do swego pokoju i tam kazała mu sobie opowiadać o różnych dawnych znajomych utrzymując, że to sprawia wielką ulgę jéj rozdrażnionemu sercu.

Maryan mówił jéj o różnych znajomych, bliższych i dalszych ale o panu Krzysztofie nie wspomniał. Lękał się jeszcze wystąpić z nim, chował go na czas sposobniejszy. Sądził, że rozdrażnienie Elizy nie uspokoiło się jeszcze do tego stopnia aby zacny pan Krzysztof mógł się okazać.

Słuchając różnych opowiadań Eliza widocznie niepokoiła się. Przerywała bratu, gdy mowa była o tym lub owym znajomym i żądała aby o innych mówił.

Wreszcie cierpliwość jéj skończyła się.

— Mój Maryanie, rzekła do brata, opowiadasz mi o różnych znajomych i nieznajomych a nie wspominasz ani słowem o panu Krzysztofie, który przecież mnie najwięcéj ze wszystkich interesować powinien.

Maryan przestraszył się losu swego przyjaciela, bo nie wiedział, czy Eliza pyta o niego w tym celu, aby sobie z niego jak zwykle pożartować, czy téż robi to z jakiego lepszego uczucia. Wpatrzył się więc z pewną obawą w twarz siostry. Na twarzy Elizy trudno było co dojrzéć. Była to twarz kobiety doświadczonéj, która przed czasem niczego nie okazuje.

— O panu Krzysztofie chcesz co wiedzieć? ozwał się Maryan po chwili i znowu urwał.

Chwila bowiem ta wydała mu się dla przyjaciela bardzo ważną. Obawiał się, aby mu co nie popsuł.

— Czy się ożenił czy może umarł? pytała daléj Eliza.

— Zdaje mi się, że ani jedno ani drugie, odparł Maryan, za nadto kocham go jako człowieka bardzo zacnego, a on wie o tem zbyt dobrze, aby mi o jednem albo o drugiem nie doniósł.

Rozśmiała się Eliza. Maryan przestraszył się tego śmiechu.

— Jakże chcesz, rzekła Eliza, aby ci o swojéj własnéj śmierci donosił?

— Nie sądź, abym głupstwo jakie był wymówił, odparł uspokojony temi słowy Maryan, jestem bowiem przekonany, że pan Krzysztof na łożu śmiertelnem kazałby do mnie z kartą pogrzebową posłańca wysłać.

Eliza zamyśliła się.

— Tak zacnych ludzi niełatwo spotyka się w życiu, mówił dalej Maryan widząc zamyślenie siostry.

Eliza przysunęła się do brata i wzięła go za rękę.

— Chcę być szczerą przed tobą Maryanie, rzekła do niego, poznaję teraz że nierozsądnie postąpiłam. Widać, że do grobu uczyć się trzeba. Żal mi teraz szczerze poczciwego pana Krzysztofa, on z nich wszystkich najmocniéj mnie kochał.

Maryanowi żywiéj uderzyło serce.

— Tak było rzeczywiście moja Elizo, odpowiedział z twarzą rozjaśnioną.

Nastąpiło długie milczenie.

— Posłuchaj Maryanie, ozwała się po chwili Eliza, jeżeli człowiek chce coś naprawić; to nigdy nie powinien się tego wstydzić. Czuję że źle zrobiłam odpychając tak zacnego człowieka... i chciałabym jakoś to naprawić. Musisz mi pomódz.

Uradowany Maryan uściskał siostrę.

— Jak najchętniéj Elizo, jak najchętniéj to zrobię! zawołał.

— Dziękuję ci, ale trzeba to jakoś ostrożnie zrobić, aby mnie oszczędzić. Krok podobny nie jest przyjemny dla kobiety. Aby nie myślał pan Krzysztof, że to ode mnie wyszła inicyatywa... rozumiesz mnie?...

— Rozumiem cię, i bądź pewna, że okażę się w tem wytrawnym dyplomatą. Nawet Flaminia nie domyśli się niczego.

Eliza uściskała brata.

Za pięć dni nadeszła do Tuliwód odpowiedź pana Krzysztofa na list Maryana.

Pan Krzysztof pisał:

— „Chociaż już od miesiąca czwórką jeżdżę, list twój jednak drogi Maryanie wsadził mnie na sto koni. Podskoczyłem aż do saméj powały (a wiesz że mój dworek podniosłem na łokieć) gdy od ciebie te słowa serdeczne otrzymałem. Widać że mnie kochasz jak dawniéj a to sprawia sercu memu wielką rozkosz... Ale mógłbyś sądzić z pewnych powodów, że ja ciebie nie kocham, że przed tobą ukrywam to, czem serce moje żyje... Otóż powiadam ci, że tak nie jest. Chciałem wam poprostu moim przyjazdem i moją czwórką zrobić niespodziankę, a gdy do téj niespodzianki już szory czyścić kazałem nadszedł twój list którym mnie na polowanie zapraszasz. Niechże cię nie znam. Popsułeś mi cały plan, a teraz czekaj mnie na pewno pojutrze bez żadnéj niespodzianki... chociaż kto wie czy nie wyprawię wam jakiéj niespodzianki. Ściskam cię, Krzysztof.“

List ten był kilka razy czytany. Pierwszy raz odczytał go Maryan, potem trzy razy czytała go Eliza. Maryan patrzał z radością na siostrę.

— Poczciwy pan Krzystof, ozwała się z uśmiechem widać że twój list wprawił go w dobry humor.

Resztę dnia przepędziła Eliza także w humorze bardzo dobrym. Śpiewała, grała na fortepianie i wiele żartowała. Opowiadała różne zabawne zdarzenia ze swoich wycieczek. Cieszyła się, że będzie polowanie chociaż dawniéj polowania nie lubiła.

Pomimo dyplomatycznéj tajemniczości Maryana domyślano się czegoś w domu. Flaminia pierwsza odgadła cel tego polowania ale z wrodzonéj kobiecéj delikatności nie zdradziła się tem przed Elizą. Wiedziała dobrze, ile to ją kosztuje, że po różnych niepowodzeniach wraca do tego, o którym pierwéj słyszeć nie chciała.

I rodzice także czegoś się domyślali. Dla pana Salezego nie była to myśl bardzo rozkoszna, bo pan Krzysztof nie wnosił do familii żadnego splendoru kolligacyi i stosunków swoich, ale był za to człowiekiem zamożnym, co w dzisiejszem położeniu miało pewne znaczenie. Zgodzono się więc z tą myślą i oczekiwano tego pojutrze z pewnem dosyć przyjemném uczuciem.

Cały drugi dzień zeszedł Elizie na przygotowaniu sobie toalety. Ułożyła sobie przebrać się jutro dwa razy. Do śniadania miała mieć osobną toaletę a na wieczór do obiadu miała wystąpić bardzo świetnie.

Flaminia postarała się także o to, aby ta toaleta miała tło należyte, aby cały wieczór przypominał owo rozkoszne tło Wenecyi, które tak dziwnie działa na serca ludzkie. W braku rzeczywistéj dekoracyi któraby na wodzie widoki architektoniczne przedstawiała, rozłożyła po stołach różne fotografie i obrazki przedstawiające te widoki, a resztę dopełniła kwiatami. Przy kwiatach nie zapomniała o kuchni i piwnicy, aby duch i ciało w zgodzie z sobą były.

Wreszcie zawitała upragniona godzina. Nad wieczorem miał przybyć pan Krzysztof o czem Eliza nie zapomniała, z czwórką swoją jak donosił w liście...

Eliza na to wstępne powitanie wybrała sobie kostium prawie powszedni ale w gruncie nadzwyczaj wykwintny. Był to wprawdzie tylko cheriot ale prawdziwie angielski a dodatki do niego kosztowały pięć razy tyle co sama materya. Jutro dopiero miała Eliza stopniowo rozwijać wszystkie wdzięki swojéj paryzkiéj toalety.

Słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi. We dworze było wszędzie widać oczekiwanie. Eliza z niepospolitą zręcznością włożyła kilka... jesiennych kwiatków do włosów... z takich samych kwiatów mały bukiecik przypięła do piersi.

Wyglądała jak piękne rozkoszne lato... pozujące na jesień.

Przejrzała się w zwierciadle i rozśmiała się. Uśmiech miał jeszcze te wszystkie wdzięki, które ongi podbijały i dzisiaj jeszcze podbić mogły...

Wreszcie tuman kurzu wzniósł się w lipowéj alei. Wszyscy pospieszyli na werendę. Eliza rzuciła jeszcze spojrzenie do zwierciadła i poprawiła sobie kwiatki.

Za chwilę zaryła dziarska czwórka kopytami przed gankiem. Lśniący powóz zatrzymał się.

Służba i Maryan rzucili się do drzwiczek...

Cóż to?

Z powozu wychyliła się najprzód rumiana, uśmiechnięta twarz pana Krzysztofa... a z głębi patrzały na obecnych jakieś obce oczy kobiece...

— Ho, ho, ho, zahuczał pan Krzysztof, prawda że niespodziankę wam zrobiłem?...

I prawie na powietrzu wyniósł z głębi powozu, drobną, młodą kobietę...

— To moja żona, zawołał zwrócony do wszystkich, a co niespodzianka!

Maryan osłupiał. Kobiety cofnęły się od okna.

— Nic mi nie napisałeś? zapytał Maryan.

— Ho, ho, ho, odparł pan Krzysztof, w szczęściu nie ma czasu na długie epistoły... zresztą miała to być niespodzianka, jak niemniéj dla mnie było niespodzianką. Wróciwszy z Wenecyi byłem w mieście powiatowem za interesem i nagle natrafiłem na pogrzeb. Czyj? pytam... mego profesora dawnego, u którego mieszkałem. Przypomniałem sobie że miał małą córkę wtedy i zapytałem w duchu co z nią się stanie po śmierci ojca, który był wdowcem i gdy tak w duchu o tem myślałem zbliżyłem się do trumny i obaczyłem w żałobie... moją dzisiejszą żonę!... Ho, ho, ho, nieprawdaż że niespodzianka?...

. . . .

XXXVII.

Po tem niefortunnem polowaniu nastały w Tuliwodach dni bardzo smutne. Zapanowała jesień dżdżysta i mglista. Atmosfera na dworze i we dworze była bardzo smutna.

Kłopoty gospodarskie mnożyły się jedne po drugich. Wszystkiego z pola nie można było zebrać, wiele pogniło. To co zebrano, nie wydawało takiego plonu, jak się spodziewano. Budynków gospodarskich nie było, a żydzi jakby na udręczenie Maryana przychodzili codziennie dopytywać się o gorzelnię. Prócz tego termina różnych długów nadchodziły, a sprawa parcellacyi ugrzęsła gdzieś w sądzie i ztamtąd nie można było jéj wydobyć... A na ostatek kilku sąsiadów przyjeżdżało do dworu z zapytaniem, czy to prawda że Goldfisz las zakupił a o grunta jeszcze traktuje...

Wszystko to napełniało już dostatecznie atmosferę dworu różnemi zatrważającemi widmami... a do tego przyłączyły się jeszcze różne osobiste niesmaki.

Eliza jako kobieta w wysokim stopniu nerwowa, objawiała niezadowolenie swoje z biegu świata w sposób dla wszystkich bardzo dokuczliwy. Po owem niefortunnem polowaniu postarzała się o lat dziesięć. Widząc tę prawdę w zwierciadle była nie powstrzymaną w gniewie na wszystkie urządzenia ludzkie i boskie. Gniewała się, że życie ludzkie podzielono na młodość i starość i że ta starość nie zaczynała się w należytem miejscu. Utrzymywała, że kobiety dopiero po pięćdziesięciu latach do starych liczyć się mogą do téj granicy wolno im być młodemi. Gniewała się dla czego mężczyzni dłużéj młodość swoją liczą, i utyskiwała na uzurpacyą silniejszéj strony... Żadne słowo nie mogło z jéj ust wyjść bez pewnéj goryczy bez jadu, który jéj sprawiał prawdziwą rozkosz. Była teraz w zgodzie z rodzicami, gdy ci w kwaśny popadli humor a nie mogła ukryć swojéj nieżyczliwości jaką miała dla Maryana i Flaminii.

Czując się nieszczęśliwą, widząc odlatujące resztki młodości swojéj, cierpiała niesłychane katusze koniecznéj już rezygnacyi, któréj konieczności jeszcze uznać nie chciała...

A całe swoje nieszczęście przypisywała ożenieniu się Maryana.

— Gdyby Maryan inaczéj się był ożenił, mawiała do rodziców, wszystko byłoby inaczéj.

Pan Salezy potakiwał córce a miał do tego także osobiste powody.

Jeszcze w lecie zawezwał Maryan dwóch znakomitych lekarzy aby się ich względem zdrowia ojca poradzić.

Lekarze już dawniéj leczyli pana Salezego i znali dobrze jego chorobę. Po dokładnem i sumiennem zbadaniu chorego zgodzili się obaj, że Wenecya na organizm żadnego spodziewanego wpływu nie wywarła. Nic ona tu nie pomogła, gdzie siły żywotne zamierały powoli wprawdzie, ale zamierały co raz więcéj. Przekonali się, że przez ten czas znaczne zrobiło się pogorszenie w całym organizmie. Paraliż postępował nieubłaganie zacząwszy od ostatecznych kończyn w kierunku dośrodkowym. Ani powietrze morskie ani woda morska nie zatrzymały tego złowrogiego postępu. Mniemanie pacyenta, że w Wenecyi było mu lepiéj uznali poprostu za oszołomienie zmysłów nowem otoczeniem i nowemi widokami. Wywoływało to w organizmie pewną gorączkę, w któréj pan Salezy nie czuł postępującéj coraz więcéj choroby, a która mimowoli ciągle postępowała.

Po takiem dokładnem zbadaniu rzeczy powiedzieli lekarze Maryanowi, że tutaj nie ma już co o ko-

sztowych myśléć wycieczkach, i że nadzwyczajne środki lekarskie mogą wprawdzie na wyobraźnię wpłynąć i ją lepszą jakąś nadzieją podrażnić, ale zamierającego życia nie przedłużą ani o dzień jeden. Przeciwnie, bywały wypadki, że chory zmieniając warunki życia wcześniéj umierał, niżeli toby stało się, gdyby spokojnie na miejscu siedział. Zgodzili się w końcu, że dla pana Salezego byłaby nawet druga taka podróż do Włoch niebezpieczna i że podczas téj podróży mógł umrzéć. Podróże dobre dla ludzi poczynających chorować, ale dla umierających już są zabójcze.

Gdy lekarze to wszystko w sposób oględny panu Salezemu powiedzieli, a nawet nadzieją lepszego zdrowia go pocieszyli, jeżeli z Tuliwód nie będzie się ruszał, biedny a chciwy życia paralityk przyjął te słowa z uśmiechem niewiary będąc w duchu przekonany, że Maryan naumyślnie tak lekarzom mówić zalecił, aby wydatków większych nie miéć. A jeżeli sumienie mu wyrzucało, że takiem posądzeniem syna wielką wyrządza mu krzywdę, wytłomaczył sobie całą rzecz w ten sposób, że lekarze widząc kłopotliwe materyalne położenie Maryana sami od siebie taki wyrok wydali.

Do jednego lub drugiego przypuszczenia przyczyniła się teraz niemało Eliza. Już z powodu dzisiejszego swego pessymizmu nie zaniedbała nigdy dorzucić do skargi biednego paralityka kilka słów ze swojéj strony, które całą winę na nieszczęśliwe ożenienie Maryana składało.

Gdy pan Salezy z kwaśną miną na spadający ustawicznie barometr spoglądał, odzywała się często Eliza:

— W Wenecyi pewnie piękna pogoda.

— Niezawodnie, odpowiadał z westchnieniem pan Salezy, w Wenecyi czułem się zdrowszym.

Pani Apolonia już dla saméj harmonii zgadzała się z mężem i córką i wzdychała.

Nieraz gdy deszcz siekł na dworze a cała rodzina przy ciepłem zgromadziła się kominku, pan Salezy wybrał tę chwilę dla wszystkich tak słodką, aby wspomnienia swoje rozkoszne z Wenecyi z dzisiejszą rzeczywistością w jaskrawem ułożyć zestawieniu.

Razu jednego w takiem ciepłem kółku ozwał się:

— Powiadają lekarze, że mi Wenecya nic nie pomogła. Wiem ja dlaczego oni tak mówią. Zresztą ja nie żądam tego czego nie można, ale o Wenecyi takich rzeczy mówić niepodobna. Powietrze weneckie a nasze to tak jak biały zdrowy chléb a czarna zamieszka. Jakże może człowiek być zdrowym tutaj? Deszcz, słota i wicher. Tam co innego. Słońce, woda szmaragdowa, a jeżeli wiatr od morza to samo zdrowie. Czułem wyraźnie w żyłach powietrze morskie... Ale cóż robić. Jeżeli nie można to nie można.

— Jeżeli ojciec uważa Wenecyą za konieczne lekarstwo, ozwał się Maryan, to można przecież o tem pomyśléć.

— Pomyśléć mówisz?... odpowiedział zgryźliwy paralityk i lewą ręką wskazał na okno, mówisz że o Wenecyi można jeszcze pomyśléć? Pierwéj trzeba te węgle pozbierać i ten komin z gorzelni rozebrać, niech przynajmniéj trawa na tem miejscu rośnie i niech ludzie naszéj dzisiejszéj biedy nie widzą.

— Ta bieda nie od dzisiaj, odrzekł Maryan.

— Prawda, ale były przecież nadzieje....

Pani Apolonia i Eliza mimowoli spojrzały na Flaminię...

— Ale ja tam tego dzisiaj od ciebie nie żądam, mówił daléj pan Salezy, w innem położeniu co innego.

Elizy oczy zwróciły się znowu na Flaminię...

Drugi raz przyjechała czuła sąsiadka w odwiedziny.

— Pan coś nienajlepiéj dzisiaj wyglądasz, rzekła nieoględnie do pana Salezego, zapewnie jaka chwilowa niedyspozycya, poprawiła się.

— Gdzie tam pani niedyspozycya, odpowiedział z westchnieniem pan Salezy, to powietrze nasze niedobre. Nie ma to jak powietrze włoskie... A gdybym miał za co, pojechałbym jeszcze daléj do Kairu. Tam człowiek odmłodnieć może...

Czuła sąsiadka zwróciła się z wyrzutem do Maryana i Flaminii... a pani Apolonia wzdychała.

Pani Apolonia wyczytała przypadkiem w jakiemś piśmie że we Włoszech jest grota Monsumano z naturalną łaźnią, w któréj cudów chorzy doznają.

Od tego dnia biedny paralityk marzył o téj grocie dzień i noc, a opowiadając przy kominku o tych marzeniach swoich kończył zawsze:

— Gdyby Maryan był w inném położeniu... to co innego. Ale tak... trzeba poprzestać na marzeniu.

Do tego przyłączyły się ustawiczne narzekania Elizy. Zrazu narzekała tylko w przystępie złego humoru, potem uwierzyła sama w swoje narzekania.

Była teraz pewna że mogłaby wyjść świetnie za mąż, gdyby Maryan inaczéj był się pokierował i cały majątek na innych stanął nogach... Nie wspomniała jednak ani słowa o tem, że właściwie złe jéj obliczenie było tutaj pierwszym powodem...

Taką była teraz atmosfera we dworze, którą oddychała Flaminia. Nie tylko wewnątrz dworu była ta atmosfera, ale otaczała ona całe niemal sąsiedztwo i z tamtąd nawet zawiewała do uszu biednéj kobiety.

Flaminia przy swojem usposobieniu nie mogła być nieczułą na tę atmosferę. Widziała zmartwienie rodziców, widziała zły humor Elizy, a na czole Maryana spostrzegała coraz więcéj zmarszczków. Chciała te zmarszczki ciepłą swoją dłonią wygładzić, ale to nie udawało się. Wprawdzie kochał ją Myryan jak dawniéj, ale widziała w téj miłości jego tylko ów gorejący z całem wytężeniem płomień który resztki oleju pożera... Tak przynajmniéj się jéj zdawało...

Zaczęła w duchu coraz więcéj siebie oskarżać, zaczęła wierzyć że miłość jéj dla Maryana stała się w tych warunkach wielkiem dla niego nieszczęściem...

Zaczęła coraz częściéj płakać...

Maryan spostrzegł ten płacz... Najpierw pieścił ją, potem klękał przed nią a gdy to nie pomogło, zawołał lekarzy...

Lekarze znaleźli rozstrój nerwów i zapisali lekarstwa.

Płacz nie ustawał.

Razu jednego, gdy Maryan przy niéj siedział i za rękę ją trzymał rzekła do niego:

— Prawda że ręka moja zimna.

— Wcale nie, odpowiedział Maryan, jest ciepła.

— Nie może być. Mnie jest tak zimno, coraz zimniéj.. Przeczytałam wczoraj pismo mego chrzestnego ojca, w którém stoi: Gdy ci zimno będzie między ludźmi, to roznieć w sercu swojem jak najwięcéj gorąca a to właśnie gorąco ogrzeje ciebie i ich. Próbowałam, ale prócz ciebie nikogo moje serce nie ogrzało...

I zaczęła płakać.

Maryan tulił ją do siebie.

— Wszyscy są dla mnie zimni a co więcéj, niesprawiedliwie... Nie powinnam była ciebie pokochać... dla ciebie i dla nich potrzeba było innéj...

Maryan wziął ją w objęcia swoje.

— Ty jesteś dla mnie tylko jedną na świecie! zawołał.

Flaminia potrząsła głową.

— Ale ty nie byłeś dla mnie jednéj, odpowiedziała z westchnieniem.

— Cóż cię martwi?

— Twoje kłopoty majątkowe, w których ja ci dopomódz nie mogę.

— Kłopoty te były oddawna, a teraz tylko dobiegają końca.

— Straszny koniec.

— Koniec przewidziany. A gdy będziemy ubożsi gdy węższy widnokrąg nas otoczy, będziemy szczęśliwsi.

— Gdybyś był najuboższym, potrafię być z tobą szczęśliwą bo cię kocham.

Maryan zapomniał w téj chwili o kłopotach swoich.

* * *

Dzień był mglisty i zimny. We dworze zjawił się Goldfisz.

Pół roku, owa niegdyś nieobliczona przestrzeń czasu, w któréj tyle rzeczy można było dokonać, pół roku, owa wieczność dla ubogiego ziemianina przypartego lichwą do muru, pół roku już minęło.

Goldfisz zażądał lasu albo kary konwencyjnéj i groził w ostatku licytacyą.

Sprawa ta odbywała się dosyć głośno.

Najprzód pan Salezy uczuł zbliżający się do serca paraliż i kazał się rozebrać...

Pani Apolonia dostała kurczów i położyła się także do łóżka.

Eliza miała spazmy śmiechu.

Podczas gdy Maryan z Goldfiszem nowe układy w kancelaryi zawierał, chodziła Flaminia koło chorych jak siostra miłosierdzia z odwagą i męztwem prawdziwie chrześciańskiem...

Była na pozór spokojną i silną. Chodziła koleją od ojca do matki, od matki do Elizy. Wszędzie była sługą, córką i siostrą ..

Trwało to kilka dni.

Czwartego dnia po nieustannéj pracy i trzech nie przespanych nocach uczuła zawrót głowy.

Rozebrano ją i położono do łóżka.

Maryan przybiegł do niéj.

Była spokojną nie miała żadnéj gorączki. Przeciwnie ręce jéj były zimne jak lód.

— Cóż ci jest? zapytał Maryan z miłością.

— Nic mi nie jest, odpowiedziała, tylko jest mi strasznie zimno.

Maryan smutno spojrzał na nią.

— Coraz mi zimniéj, mówiła daléj, jakbym cała zamarznąć miała... Proszę cię coraz teraz tak zimno na świecie? Dawniéj było jakoś cieplej...

— Uspokój się, zaklinał ją Maryan, to z tąd pochodzi, żeś trzy nocy nie spała.

Flaminia potrząsła głową.

— Nie to, odpowiedziała z uśmiechem, ale że na świecie coraz zimniéj... mówię ci coraz zimniéj.

I przymrużyła oczy.

Maryan przyłożył rękę do czoła, czoło było zimne.

Otworzyła za chwilę oczy.

— Przychodzi mi dziwna myśl do głowy, mówiła z uśmiechem, myślałam sobie, gdyby ta atmosfera nasza to powietrze w naszym pokoju było gorętsze... gdyby nagle zajęło się płomieniem... w tych płomieniach byłoby mi bardzo zdrowo i dobrze...

I na oczy jéj nasunęły się znowu powieki.

— Może zaśniesz, szepnął jéj Maryan do ucha.

Flaminia ruszyła głową.

Maryan złożył pocałunek na jéj zimnem czole, a Flaminia oddała mu go. Ale usta jéj były także zimne.

Cicho na palcach wymknął się i również cicho wydał w sieni rozporządzenie, aby jak najprędzéj po doktora do miasta pojechano.

Stan Flaminii, to majaczenie bez gorączki wydało mu się zatrważające.

. . . .

Za godzinę uspokoiło się wszystko we dworze, Flaminia zasnęła. Sen był spokojny. Maryan zostawił przy niéj służącą a sam poszedł na chwilę spocząć.

I wszystko spoczęło we dworze. Tylko na północ piały koguty, tylko tam gdzieś we wsi zbudzony pies ujadał jakby jakie widmo obaczył...

Cicho, głucho było wszędzie. Na niebie świeciły gwiazdy, a wiatr jesienny odłamywał ostatnie liście i rozrzucał je po ziemi...

Wtem nagle w okna dworu błysła jasna łuna...

Flaminia otworzyła oczy.

Tuż naprzeciw okna stał mały domek w płomieniach.

Zaiskrzyły się oczy Flaminii. Spojrzała w koło siebie...

Służąca spała.

Podniosła się z łóżka i stanęła przed oknem...

Łuna z pożaru padła na jéj twarz...

Dziwna była ta twarz teraz. Była rozpłomieniona, na skroniach wyprężyły się sine żyły..

Oczy rozwarły się szeroko, a usta złożyły się do rozkosznego uśmiechu...

Cała twarz okazywała wysoki stopień gorączki nerwowéj...

Stała chwilę przed ogiem i uśmiechała się do niego...

Kilka razy powtarzała ruch ręką, jakby okno otwierać chciała... i znowu cofała się ku drzwiom które prowadziły do pokoju Maryana.

Zdawało się, że chociaż w gorączce wahała się jednak jak igła między dwoma magnesami. Ogień pociągał ją do siebie jakąś siłą nie przepartą, serce ciągnęło ją w drugą stronę.

— Na świecie... między ludźmi tak zimno, szepnęła do siebie... tak zimno na świecie... a tam... tam... w tym ogniu... w tych płomieniach... tak ciepło... tak dobrze...

I szybko otworzyła okno i jak błyskawica pobiegła ku pożarom...

Gdy się zbliżyła do ognia... do pierwszéj kolebki swojéj... gdy czerwone płomienie zaczęły ją za szatę chwytać... zdawało się jéj, że czuje ów upragniony uścisk rodzicielski, że czuje gorące ramiona matki...

I w oka mgnieniu znikła w płomieniach...

* * *

Tragiczna śmierć kobiety, ofiary umyślnych złudzeń, nie powstrzymała drugiéj, nowożytnéj tragedyi naszéj...

Wenecya 1877.

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez **Bulwera**,

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

AKT IV.

Scena I.

Przedpokój w domu Evelyna. Tak jak w pierwszéj scenie drugiego aktu. Tapicer, Złotnik, Krawiec, i inni.

Tapicer (na pół szepcząc). Tak więc jak słyszę, pan Evelyn został szulerem! Dziwne wieści chodzą dziś o nim: nie wiem jak to mam rozumiéć! Musimy uważać dobrze, panie Mac Finch, my średni rzemieślnicy, i kosić łąkę póki słońce świeci.

Złotnik. Chciałbym żeby te domy gry raz już dyabli wzięli! To prawdziwy wstyd i grzech, żeby tacy panowie zmawiali się i rujnowali wzajemnie, kiedy za te pieniądze co oni przegrają, my uczciwi rzemieślnicy moglibyśmy dostarczyć im tylu pięknych rzeczy, z korzyścią dla nich i dla krajowego przemysłu!

(Wszyscy potakująco kiwają głowami).

Wchodzi Kapitan z drugiego pokoju z notyską i ołówkiem w ręku.

Kapitan (oglądając się w koło). Hum, hum, piękne obrazy! (biorąc do ręki firankę) najmodniejszy aksamit hm! ładne pokoje! Z pewnością ten dom piękniejszy od domu Glossmore'a! A! pan Tabouset tapicer! to pan meblowałeś te pokoje? Wszystko w najlepszym gatunku, co?

Tapicer. W jak najlepszym gatunku, panie. Pan Evelyn nie żałuje na to.

Kapitan. Prawda że nie żałuje. Myślę że pan jesteś już zapłacony za to wszystko?

Tapicer. Nie panie, nie posyłam nigdy rachunków, jeśli klient bogaty (na str.) Rachunki to tak jak liście, im dłużéj nieruszane, tem większe urosną.

Kapitan. Co! niezapłacone rachunki? Hm, hm!

(Wszyscy otaczają Kapitana).

Złotnik. Nie lubię tych wszystkich hm, hm! jest w tem coś podejrzanego.

Tapicer (do reszty rzemieślników). To sławny gracz kapitan Smorth, najlepszy gracz w Europie, wyprowadził na czysto księcia Sillgrale. Nadzwyczajnie zręczny człowiek!

Kapitan (mierząc krokami pokój). Trzydzieści sześć stóp na dwadzieścia ośm szerokości, hm! myślę że półokrągłe okno przyozdobiłoby znacznie pokój: czyby się to łatwo dało zrobić?

Złotnik. Jeżeli p. Evelyn potrzebuje robić jakie zmiany w domu, nikt tego lepiéj nie zrobi jak mój przyjaciel pan Mac-Stucco. Budowniczy.

Kapitan. Pan Evelyn! mówiłem o sobie samym. Pan Mac-Stucco? hm!

Tapicer. O sobie samym pan mówił? Czy pan kupił ten dom?

Kapitan. Czy kupiłem? hm, hm! to zależy... tak więc, nie jesteście jeszcze popłaceni? hm! ani ten, ani tamten, ani żaden z was? hm! hm!

Tapicer. Nie panie! Ale i cóż ztąd? Nie ma przecież obawy o pana Evelyna?

Wszyscy (z niepokojem). Cóż ztąd, wszak nie ma obawy?

Złotnik. Ach! panie, więc cóż ztąd? Jestem ubogi człowiek obarczony rodziną, masz pan pewien rachunek w moich książkach, ale chętniebym go wykreślił, gdybyś mi pan tylko zechciał powiedziéć co mają znaczyć te ciągłe pańskie hm! hm!

Kapitan. Mac-Finch, nie zmuszaj mnie żebym cię obił, nie życzę sobie żeby pana Evelyna spotkała jaka nieprzyjemność. Biedny chłopiec! zawsze ma złe karty. Tak więc. nie zapłacił was dotąd? Nie posyłajcie mu pod żadnym pozorem rachunków. Pamiętajcie! Nie lubię niepokoju w domu. Bywaj zdrów panie Mac-Finch.

(Wychodzi rozglądając się w około).

Tapicer. Jasne jak słońce! postawił nawet dom na stawkę i przegrał!

Scena II.

Ciż sami, wchodzi Sharp z pokoju w głębi, poruszony i z wielkim pośpiechem

Sharp. O! Boże! o! Boże! ktoby to był myślał! Karty to wymysł szatana! Janie! Tomaszu! Henryku!

(Ciągnie za dzwonek).

(Wchodzi dwóch służących).

Tom zanieś ten list do sir Johna Vesey. Jeżeli go nie ma w domu, poszukaj go koniecznie, da ci przekaz z którym pójdziesz do jego bankiera, niech ci wypłaci tę sumę natychmiast. Prędko, prędko, śpiesz się!

Tapicer (zatrzymuje służącego). Co to znaczy? O co to idzie? Jak się ma pan Evelyn?

Służący. Źle, bardzo źle! Całą noc grał z Kapitanem.

(Wybiega).

Sharp (do drugiego służącego). Tak Henryku, twój biedny pan! O! Boże, Boże! Weź ten papier i biegaj do belgijskiego ambasadora o pasport do Ostendy, tylko prędko!

Złotnik (zatrzymując służącego). Pasport! Słuchajno mój kochany, czy to twój pan myśli się morzem od nas odgrodzić?

Służący. Nie zatrzymuj mnie pan, coś mu niedobrze jest ze zdrowiem i nakazują doktorzy zmianę powietrza, wcześnie chodzić spać a tu kapitan przeszkadza.

(Wybiega).

Sharp (chodząc po pokoju). A! gdyby bank miał zawiesić wypłaty, jeżeli już zawiesił, a on nie będzie mógł wycofać swego?

Tapicer. Bank? Jaki bank?

Sharp. Elash, Brick et comp. Elash, szwagier Kapitana? Czyś co słyszał o téj spółce?

Tapicer. Że tłok przy kasie ogromny!

Sharp. Muszę wyjść. Idźcie, idźcie; dziś nie możecie się widziéć z p. Evelynem.

Tapicer. Ale mój rachunek, panie!

Złotnik. I ja mam malutki rachuneczek.

Krawiec. Panie! prawdziwy gentleman myśli najpierwéj o zapłaceniu krawca!

Sharp. Przyjdźcie kiedy indziéj, koło Bożego Narodzenia. Bank, karty, bank. O! Boże! Boże!

(Wychodzi).

Tapicer. Bank!

Złotnik. Pasport!

Krawiec. I może ze sławnego surduta à la Evelyn świat tylko plecy będzie oglądał! Do kroć stu tysięcy! zatrzymam go, każę zaaresztować.

Tapicer (na str.) Wysunę się cichutko do miasta i dowiem się jak bank stoi!

Złotnik (na str.) Pójdę do mojego kuzyna prawnika. (Głośno). Nic tylko cierpliwości potrzeba.

Tapicer. Aj, aj, trzymajmy się razem, i po równéj części dla wszystkich, to moje zdanie panowie!

Wszyscy. Tak, tak, po równéj części dla wszystkich.

(Wychodzą)

Scena III.

Wchodzi **Służący, Glossmore** i **Blount**.

Służący. Mój pan trochę się czuje niedobrze, milordzie, ale oznajmię przybycie panów.

(Wychodzi).

Glossmore. Bardzo jestem ciekawy dowiedzieć się rezultatu tego karcianego z kapitanem sam na sam.

Blount. Och! on jest tak straszliwie bogaty że może stawić czoło nawet takiemu sam na sam z kapitanem.

Glossmore. Biedny stary skąpy Jack! Wszak to pan starałeś się o Georgianę?

Blount. Tak, i doprawdy lubiłem tę dziewczynę, chociaż oświadczyłem się o jéj kuzynkę. Ale

co człowiek może wobec pieniędzy? (Wchodzi Evelyn). Gdybyśmy mogli mierzyć się ze sobą, bylibyśmy zobaczyli kogoby Georgiana była wybrała; ale ojciec ją poświęcił, powiedziała mi to sama!

Evelyn. Panowie, mamy mały rachunek do załatwienia, po sto funtów każdemu z was.

Obaj razem. Nie mówmy o tem.

Evelyn (chowając do kieszeni pugilares). No dobrze, nie mówmy o tem kiedy nie chcecie. (Biorąc Blounta na stronę). Nie wiem czy uwierzysz że nie byłbym mógł zapłacić wam w téj chwili. Pieniądze mam uwięzione, tak że muszę czekać na dochody z Groginhole. Więc zamiast żebym ci miał być winien sto funtów przypuśćmy że ci winien jestem pięćset. Możesz mi dać przekaz na te czterysta, ale ani słowa o tem przed Glossmorem.

Blount. Glossmore! największy plotkarz w całym Londynie! Bardzo mi będzie przyjemnie zrobić ci tę usługę. (na str.) Nigdy nie szkodzi pożyczyć bogatemu. W ten czy inny sposób, zawsze się swoje odbierze. Ale, ale, Evelyn, jeśli potrzebujesz mojego siwego konia, możesz go kupić za dwieście funtów co razem uczyni siedmset.

Evelyn (na str.) To lichwa w dobrym tonie: przyjaciel nie może wziąć procentu, sprzedaje ci zatem konia za podwójną wartość. (głośno) I owszem Blount, to bagatela!

Blount (pisząc przekaz w zamyśleniu). Tak, nie widzę coby mi to miało szkodzić, koń i tak już ma zerwane nogi.

Evelyn (do Glossmore'a). Trochę mi niedogodnie oddać ci dziś te sto funtów które jestem winien; mam wypłacać znaczną sumę za Groginhole, żebyś mi więc zechciał pożyczyć pięćset lub sześćset funtów jeszcze, właśnie mi tyle potrzeba do skompletowania całkowitej sumy.

Glossmore. Jak najchętniéj! Hophius umarł! jeżeli zechcesz głosować za lordem Cipher...

Evelyn. No, tego ci nie mogę przyrzec w téj chwili ale jako słaby dowód wdzięczności i przyjaźni jaką mam dla ciebie, pozwól sobie ofiarować ślicznego siwego konia, którego dziś kupiłem. Kosztuje mnie dwieście funtów!

Glossmore (na str.) Dziś kupił! no to jestem bezpieczny. (Głośno) Mój drogi jesteś prawdziwie po królewsku hojny!

Evelyn. Fraszka! napisz przekaz; ale proszę cię ani słowa o tem Blountowi!

Glossmore. Blountowi! ależ to papla!

(Idzie pisać przekaz).

Blount (dając przekaz Evelynowi). Na Wansiema, Tall Mall.

Evelyn. Dziękuję. Tak więc oświadczyłeś się o miss Douglas?

Blount. A tak! niech mnie powieszą jeżlim nie był pewien że jest mną zajęta: jéj zachowanie się tego samego dnia kiedyś się oświadczył o miss Vesey było takie... zresztą, Georgiana...

Evelyn. Ma o połowę mniejszy posag niż miss Douglas.

Blount. Zapominasz o oszczędnościach skąpego Jacka! Ale przepraszam cię że o tem mówię.

Evelyn. Nic nie szkodzi; ale ani słowa przed Sir Johnem o mojéj pożyczce, bo będzie myślał że jestem zrujnowany.

Glossmore (dając Evelynowi przekaz). Na Rausonsa, Tall-Mall. Powiedz mi czyś wygrał czyś przegrał dzisiejszéj nocy?

Evelyn. Wygrał! Przegrał! O! proszę cię ani słowa więcéj o tem, jeśli mnie kochasz. Muszę w téj chwili posłać do bankierów (przyglądając się obydwom przekazom).

Glossmore (na str). Jakto! wziął podpis Blounta!

Blount (na str.) Co widzę, wziął podpis Glossmorea!

Evelyn. Darujcie mi; muszę się ubierać, nie mam ani chwili do stracenia. Pamiętajcie że jesteście dziś u mnie na obiedzie: Kapitan także będzie. (ze wzruszeniem). Może to już ostatni raz będę was przyjmował tutaj... cóżem to chciał powiedzieć? To był tylko żart, prosty żart, do widzenia.

(Ściska ich serdecznie za ręce i wychodzi do pokoju w głębi).

Blount. Glossmore!

Glossmore. Blount.

Blount. Obawiam się że niewszytko jest jak być powinno.

Glossmore. I ja podzielam twoje zdanie.

Blount. No, sprzedałem przynajmniéj mojego siwego konia.

Glossmore. Siwego konia, powiedz mi co on jest wart?

Blount. Teraz kiedy już sprzedany, mogę ci powiedzieć. Nie wart nawet sześciu pensów.

Glossmore. Nie wart sześciu pensów? Evelyn darował mi go.

(Evelyn ukazuje się we drzwiach dając rozkazy służącym).

Blount. Dyabelnie brzydka sprawa. Wiesz że czuję się jakoś rozstrojony.

Glossmore. Rozstrojony? Chodźmy lepiéj wstrzymać wypłatę naszych przekazów.

(Evelyn zamyka drzwi, służący przebiega scenę).

Blount. Hola! John! gdzie się tak spieszysz?

Służący (z wielkim pośpiechem). Przepraszam Sir Fryderyku, na Pall Mall do panów bankierów.

(Wybiega).

Blount (uroczyście). Glossmore! złapaliśmy się.

Glossmore. Panie! całe miasto będzie o tem wiedzieć.

(Wychodzi).

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Z Literatury Europejskiéj Nowożytnéj.

Poezya Celtycka.

(Dalszy ciąg).

Rzymianie podbiwszy Galią panowali nad nią przez lat pięćset, zamieniwszy państwo dawniéj niepodległe na zwykłą prowincyą wielkiego cesarstwa. Więcéj niż gdzieindziéj zajmowali się oni tutaj dziełem wynarodowienia: przede wszystkiem zniweczyli religią miejscową stojącą na straźnicy literatury narodowéj, i narzucili zwyciężonym swoich bogów, prawa, język i zwyczaje. Nieszczęśni Galowie ulegli niewoli w najrozmaitszych kierunkach; przemoc rzymska była zazdrosną nie znosząc najmniejszego wyłączenia; namiestnicy cesarscy nie zadawalniali się przewagą zewnętrzną czyli materyalną, ale chcieli zawładnąć samą duszą człowieka, aby podlegli ich władzy mówili a nawet myśleli, wedle wskazówek udzielonych przez władzę. Z wszelką pewnością zabronili oni śpiewania dawnych hymnów narodowych, z obawy aby zawarte w nich wspomnienia, nie rozbudziły chętki do odzyskania niepodległości. Zresztą sami Galowie, nie ośmieliliby się śpiewać, w obec ciemięzców, pieśni opowiadających zwycięztwa odniesione przez ich przodków. Każdy niewolnik zachowuje milczenie aż do chwili w któréj serce przepełnione cierpieniem wyda nareszcie okrzyk zemsty i zgrozy.

Przez lat pięćset Galia zostawała pod władzą Rzymian, głucha cisza zapanowała na całej przestrzeni, poeci narodowi umilkli. Nieszczęsna ta kraina na wpół obumarła niezdolną była do czynów samoistnych, potrzeba było aż barbarzyńców północnych przybywających pod nazwą Franków, aby zniweczyć raz na zawsze przemoc najezdnika. Dwa ludy różnego pochodzenia, w połączeniu zatarły pierwotne swe znamiona, tworząc naród jednolity, różny wedle prawa chemicznego od składających go pierwiastków. Dawne tradycye i wspomnienia wytępione ręką zwycięzców, tem mniéj mogły odżyć w nowych warunkach zupełnego przeobrażenia.

Szczególnym jednak zbiegiem okoliczności, na kończynach wielkiéj Brytanii, mieszkał lud waleczny, nieugięty, przez wytrwałość w walce umiejący uniknąć niewoli, który potrafił stawić zwycięzki opór orłom rymskim i przechować w pamięci utwory poetyczne Homerów i Orfeuszów celtyckich. Aż do roku 1760 były one wcale nieznane Europie uczonéj, żyjąc jedynie w ustach ludu mieszkającego w górach północnéj Szkocyi; wypadkowym sposobem ogłoszone niektóre ustępy dawnych zabytków wywołały podziw ogólny i uwielbienie.

Zrobione w téj mierze odkrycie zawdzięczamy synowi ubogiego dzierżawcy noszącego miano Macpherson, który po ukończeniu szkoły królewskiéj w Aberdeen, założywszy szkołę początkową w Ruthven ogłosił drukiem poemat przez siebie ułożony pod tytułem: the Highlander (Goral). Praca ta nietylko nie przyniosła mu najmniejszego pożytku, ale przeciwnie okryła go śmiesznością, stawiając go w rzędzie najgorszych wierszokletów. Zmartwiony niepowodzeniem, postanowił nie wziąć nigdy pióra do ręki, nie mogąc jednak przezwyciężyć żyłki literackiéj obrał drogę pośrednią, zbierając pieśni ludu ułożone w pierwotnym języku, których oryginalność zwróciła jego uwagę.

Przełożywszy takowe na język angielski ogłosił drukiem, a praca ta doznała wielkiego powodzenia wywoławszy wrzawę i uwielbienie w całym świecie literackim. Znakomity tłomacz Homera ksiądz Cesarotti, przełożył odkryte niespodzianie pieśni celtyckie na język włoski, stawiając je prawie wyżéj od utworów staréj Grecyi.

Owym gienialnym poetą pierwotnych mieszkańców zachodniéj Europy, był Ossian, żyjący wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, w trzecim wieku ery chrześciańskiéj. Utwory jego przez piętnaście wieków nieznane, owinięte jakby mgłą gór szkockich, zachwyciły jednak wszystkich swoją pięknością i słusznie porównano je do słońca ukazującego się na sklepieniu niebieskiem, skoro czarna chmura zakrywająca je nagle rozproszoną zostanie.

Krytycy angielscy zazdroszczący narodowi szkockiemu zdobytéj sławy, dowodzili, że mniemany Ossian był istotą urojoną; niepodobna jednak było zaprzeczyć piękności poematów ani przyznawać ich autorstwo tłomaczowi, znanemu w ogóle z niedołężnych pomysłów w pracach oryginalnych. Zresztą północni gorale szkoccy śpiewali i do dziś dnia śpiewają utwory dawnego barda, zrobione więc zarzuty upadały, ponieważ niesłuszność ich można było sprawdzić na miejscu.

Środek tego rodzaju niezawodnie był najwięcéj przekonywującym, chociaż i na drodze zwykłéj krytyki literackiéj można było do takich dojść wniosków. Jeżeli bowiem zdaje się rzeczą nadzwyczajną, aby poeta żyjący w trzecim wieku, mógł ułożyć wzmiankowane poematy, to jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby mógł je napisać autor żyjący w ośmnastym wieku. Gdyby naprzykład dopiero w wie-

ku XIII, jakiś skromny zakonnik znalazł Iliadę Homera lub Enejdę Wirgiliusza, w takim razie z wszelką pewnością, nie znalazłby się nikt tyle łatwowierny, aby ośmielił się poczytać go za autora tych arcydzieł. Zazwyczaj utwory pierwszorzędnego znaczenia, same przez się wskazują epokę w której wytworzone zostały. Rozwijane ideje, opisywane wypadki, sposób wyrażenia, styl, są w tój mierze częstokroć najdokładniejszem świadectwem. Ze znamion powyższych, zdolny krytyk wskaże czas pojawienia się utworu, tak jak uczony archeolog, nie pomyli się w uporządkowaniu znalezionych dawnych zabytków starożytności. Bezwątpienia są ideje i przedmioty wspólne wszystkim okolicom kuli ziemskiéj i najbardziéj odległym epokom czasu, są jednak inne właściwe tylko pewnym miejscowościom i wyjątkowym pokoleniom; wszelkie w téj mierze naśladownictwo można rozpoznać z równą łatwością jak owe sztuczne skały i zwaliska przyozdabiające ogrody. Trudno jest utworzyć coś nowego, a jeszcze trudniéj ułożyć pracę, którąby można zaliczyć do wieków upłynionych; czas tylko wyciska na utworach ludzkich piętno starożytności nadając im w naszych oczach tem większą wartość.

Ze wszystkich prac umysłowych i dawnych i późniejszych, pieśni Ossiana zawierają niewątpliwie najwięcéj dobitne znamiona i czasu i miejsca, w którym wytworzone zostały. Aby dojść do tego przekonania, dosyć jest zbadać ich ducha, charakter, przymioty i wady, a szczególniéj porównać z pracami naśladowców napróżno wysilających twórczość swą w tym kierunku, ponieważ utworów ich nie można nawet stawić obok oryginału. Łatwiéj postępować torem wytkniętym przez Homera aniżeli przez Ossiana, nie dlatego aby drugi był wyższym od pierwszego, ale śpiewak Achillesa opisał czyny, wyraził myśli więcéj ogólne, gdy tymczasem prace Ossiana zamknięte są w okolicznościach bardziéj wyjątkowych. Idąc wślad za Homerem, niepodobna zabłąkać się, ponieważ przebieżona droga jest świetna i błyszcząca; Ossian przeciwnie prowadzi nas wśród czarnych chmur, przerywanych błyskawicami pojawiającemi się od czasu do czasu. W pracach poety szkockiego, obok ustępów wzniosłych, można napotkać słabe a nawet śmieszne, tak jak i w jego ojczyźnie wspaniałe góry sąsiadując z przepaściami, lub płaszczyznami, nie przedstawiającymi nic ciekawego dla wzroku.

Utwory poetyczne można napotkać we wszystkich językach i u wszystkich bez wyjątku narodów; wielka jednak poezya w znaczeniu nadawaniem jej przez starożytnych, wedle zdania znakomitych krytyków tegoczesnych, jest własnością narodów raczéj mniéj niż więcéj ucywilizowanych, ponieważ podstawą ich są wzburzone silnie namiętności, nie ujęte jeszcze w należne karby rozumu. Edukacya rozwijając w nas myśl i rozwagę, niweczy zbytnią drażliwość imaginacyi i uczuć i zbytnie uniesienia właściwe ludom pierwotnym. Umysł wykształcony zajęty rozbiorem pojęć oderwanych, będących owocem cywilizacyi, traci na odwadze i popędliwości. Prawidło tego rodzaju, można dostrzedz w historyi mowy ludzkiéj, wziętéj w znaczeniu ogólnem lub szczegółowo: każdy język bez wyjątku w miarę jak zdobywa czystość, poprawność, lub elegancyą, traci na malowniczości i prostocie, przymiotach odznaczających dawniejsze utwory. Ludy dzikie używają wielu przenośni będących podstawą ich poezyi, zwykła ich nawet rozmowa przybiera piętna obrazowości, ponieważ zbywa im na wyrazach do określenia myśli snującéj się po głowie. Mając przed oczami swemi rozpostartą przyrodę, znając przedmioty składające takową choćby tylko w ich znaczeniu zewnętrznem, przez porównanie zatem z widzianemi zjawiskami, opowiadają doznane wrażenia, ponieważ ubogi ich słownik nie nastręcza innego środka.

Ponieważ objawy przyrody są rozmaite w różnych okolicach kuli ziemskiéj, tem więc samem i poezya każdego ludu ma właściwe sobie znamiona charakterystyczne. Bezwątpienia miłość, pragnienie sławy, są namiętnościami właściwemi sercom wszystkich ludzi, inaczéj przecież wyrażone będą przez narody połudnìowe, a inaczéj przez północne. Uczucia będą jedne i te same, ale sposób ich określenia będzie różnym. Z téj to właśnie przyczyny, niektóre ludy posiadają piśmiennictwo sobie tylko właściwe, ze ścisłem zachowaniem pierwotnych znamion narodowości, gdy tymczasem inne skazane są na konieczne naśladownictwo, ponieważ mieszkają wśród okolic nieprzedstawiających ani pod względem klimatu ani pod względem innych zjawisk przyrody, nic szczególnego, nic właściwego sobie wyłącznie, ale właśnie zewnętrzna ich strona, podobną jest do objawów wielu innych miejscowości. Ten właśnie wypadek zachodzi co do położenia Francyi, to też literaturze jéj oddawna zarzucano brak oryginalności.

Plemiona dzikie, barbarzyńskie pod mianem Gothów, wychodzące ze Skandynawii, miały poetów nazywanych skaldami a utworom ich nadawano miano Wises. Poezya tego ludu nieokrzesanego ale pełnego siły żywotnéj, odpowiednio do jego charakteru, przedstawiała w obrazach jaskrawych, szczegóły walki i napadów zbrojnych lubując się przede wszystkiem widokiem przelanéj krwi nieprzyjacielskiéj. Tymczasem z największem zadziwieniem dostrzegamy w utworach mieszkańców gór szkockich, zostających prawie pod tym samym stopniem szerokości geograficznéj, silnie rozwiniętą uczuciowość i pewną wytworność w pojęciach i wyrażeniu, górujące po nad piętnami nieokrzesanego barbarzyństwa.

Niewątpliwie rozwiniętą jest ta sama energia i siła i uniesienie, ale obok nich można dostrzedz połączenie bohaterstwa ze szlachetnością, a nawet uczucia łagodniejsze odróżniają te utwory, od pieśni innych ludów północnych.

Jaka jest przyczyna téj różnicy?

Oto pierwotni mieszkańcy Szkocyi należeli do ludu celtyckiego, slynnego w swoim czasie ze swéj potęgi, zamieszkującego głównie Galią, którego nie trzeba mieszać z Gothami i Teutonami osiadłymi na północy Europy.

Celci, wedle świadectwa Cezara, kapłanów nazywali druidami a poeci mieli nadane miano bardów. Bardowie obowiązani byli opiewać czyny wielkie bohaterów przeszłości i tym sposobem przechowywać o nich pamięć w następnych pokoleniach. Twórcy pieśni doznawali wielkiego poszanowania, zajmując stanowisko zaszczytne w układzie społecznym. Położenie ich zatem było wielce różnem od tak zwanych rapsodów greckich z epoki Homera, zniewolonych dla zarobku grywać na placach publicznych, i odbywać włóczęgę po wsiach i miastach. Długi czas nawet po zaprowadzeniu chrześciaństwa, bardowie otoczeni byli czcią ogólną, wywierając wielki wpływ na ludność wśród któréj żyli. Wielcy panowie uważali sobie za zaszczyt mieć bardów w swoich zamkach, a nawet królowie byli uradowani jeżeli bard będący przy ich boku, zwrócił na swoją osobę ogólną uwagę. Ten stan rzeczy nie może nas dziwić wcale, przy ówczesnym braku historyków, przy decentralizacyi właściwéj plemionom celtyckim, jedynie tylko poeci przechowywali tradycye przeszłości, wedle pięknego określenia Adama Mickiewicza:

„O pieśni gminna ty arko przymierza
Między staremi i nowemi laty.“

Utwory ułożone przez bardów na cześć bohaterów przeszłości, śpiewano w czasie zebrań większych, bez względu, czy takowe spowodowane były potrzebą narady czy chęcią zabawienia się; ze śpiewem rozpoczynano bitwy i ze śpiewem chowano zmarłych wojowników, przekonanych przy zgonie, że i oni żyć będą w pamięci całego narodu. Rycerze celtyccy od dzieciństwa uczyli się pieśni narodowych, a mając uprzytomnione tym sposobem czyny takiego bohatera jak Fingal, starali się o ile możności wstępować w jego ślady. Tym sposobem bardowie nietylko przechowywali pamiątki przeszłości, ale nadto szczepili cnoty w sercach żyjących pokoleń, stając na wysokiem i tyle ważnem stanowisku moralistów.

Liczba pieśni musiała być ogromna: każda miejscowość miała swoje własne, powołani i niepowołani próbowali sił swoich na tem polu; niewątpliwie jednak największa ich ilość zaginęła, a znakomitsze tylko przechodząc od pokolenia do pokolenia, doczekały się nareszcie dnia, w którym Macpherson ogłosiwszy je drukiem, zapewnił im byt dalszy na niewzruszonych podstawach.

(d. c. n)

POGADANKA.

Jesień zbliża się do nas szybkim krokiem. Głosi ją kalendarz, głoszą kuracyusze powracający z różnych miejsc kąpielowych, głosi zapełniająca się znowu Warszawa. Czasem wprawdzie słońce na pogodnem niebie zagości, ale ciepłe jego promienie są tym ostatnim łabędzim śpiewem, co to właśnie przed zgonem najczuléj rozbrzmiewa. W południe niby jeszcze letnia spiekota panuje, lecz rankiem i wieczorem chłód ostry dobrze już daje się uczuwać. Wkrótce spacery znikną, a miejsce ich zajmą długie jesienne wieczory, w których pogoń za przyjemnością po większéj części ograniczyć się musi do czterech ścian salonu lub saloniku.

. . . .

Z dobiegającym także kresem sezonu letniego, kończy się żywot teatrzyków ogródkowych, które od nastania cieplejszéj pory raczyły poczciwych Warszawian, tak dźwiękami nadsekwańskich i naddunajskich mistrzów lekkiéj muzyczki, jak i dowcipem często może za bardzo jaskrawym. Teatrzykom tym, wybaczywszy różne usterki i niewłaściwości, należy się przychylne słowo uznania i pożegnania. Za ich to bowiem inicyatywą i przez nie jedynie, ujrzała Warszawa kilka wcale niezłych swojskich prac dramatycznych, które, przy znanym żółwim biegu naszych teatrów w kierunku pozyskiwania nowości scenicznych, byłoby można nieprędko, a może i wcale nigdy nie zobaczyć, a nasi autorowie tych prac musieliby sobie nieraz powiedzieć, że nie warto w Polsce pisać dla sceny...

Tak więc teatrzykom tym posyłamy szczere do widzenia, a zarazem i życzenie jak najlżejszéj i najznośniejszéj zimy, która, jak wiadomo, jest dla nich podobną do żywota cygańskiego włóczęgi...

. . . .

A teraz podzielę się z wami nadzieją często bardzo zawodną, ale jak dziś dosyć uzasadnioną, że wkrótce już może będzie mieć Warszawa dobrą wodę do picia i większy porządek w swych domach na wzór innych miast zagranicznych. Komisye sanitarne bowiem i Podkomitet Obywatelski bardzo starannie krzątają się około tych ważnych ze wszech miar przedmiotów. Co się tyczy wody, dokonano

obecnie nowych chemicznych rozbiorów wody wiślanéj używanéj dotychczas w wodociągach i przekonano się, iż jest ona co najmniéj zupełnie niezdatną do użytku. Komisya sanitarna, jak dotąd, pracuje gorliwie i z prawdziwą werwą wzięła się do dzieła. Oby tylko nie ustała w swéj pracy, a będzie Warszawa posiadać nietylko zdrową wodę, ale nawet tramwaye na urządzenie których już projekt został zatwierdzony, a z czasem i poczty pneumatyczne, jakie w ostatnich czasach zaprowadzono w Paryżu.

Składają się na nie okrągłe wygładzone rury, biegnące pod ziemią w różnych kierunkach i ze stacyami w kilku punktach rozstawionemi. Na stacyi takiéj wrzucony list, ciśnieniem powietrza pędzony, w kilka minut przebiega przestrzeń z jednego końca miasta na drugi.

Byłoby jeszcze i wiele innych pięknych wynalazków do zanotowania, jak np. telegraf piszący, anglika Cowpera, za pomocą którego można otrzymać depeszę niczem nieróżniącą się od właściwego charakteru pisma osoby wysyłającéj takową, ale o tem wszystkiem trudno i marzyć, gdyż wiele czasu upłynie, zanim będziemy mogli poznać się z temi nowemi dogodnościami.

W Krakowie przygotowania do jubileuszu Kraszewskiego już są na ukończeniu, a komitet tamtejszy stara się jak może, aby wszystkich gości pomieścić wygodnie w podwawelskim grodzie. Największa liczba uczestników zgłosiła się dotychczas z Warszawy i Królestwa, chociaż w Galicyi zarządy kolei zniżyły cenę jazdy o połowę; najmniéj zaś gości dostarczy księztwo Poznańskie, dotychczas bowiem zaledwie kilkanaście osób współudział swój przyrzekło. O niechęć trudno pomówić Wielkopolan, a jednak wyznać trzeba, że ten skromny ich poczet razi i zadziwia.

Obchód jubileuszu rozpocznie się nie 29 września, jak to było pierwotnie zapowiedzianem, lecz dopiero 2 października w połączeniu z poświęceniem odnowionych Sukiennic i trwać będzie przez trzy dni.

Dlaczego jednak niektóre tutejsze pisma powstają na krakowski komitet jubileuszowy, iż połączył z sobą te dwie uroczystości, trudno zrozumiéć. Pominąwszy bowiem, iż mylnie przypisują poświęceniu starego gmachu znaczenie czysto miejscowe, jest więcéj niż pewnem, iż każdy ze spieszących do Krakowa na jubileusz, chętnie przytem przyjrzéć się zechce i tej drugiéj uroczystości. O co więc gniewy i dąsy zwłaszcza gdy zważymy, iż komitet ogłosił zawczasu, możność uczestniczenia jednéj tylko lub obojgu uroczystościom według życzenia i nikt nikogo do wzięcia udziału w poświęceniu Sukiennic zmuszać nie będzie...

W teatrze miejscowym przez trzy wieczory podczas trwania tego obchodu, odbędą się przedstawienia, złożone jedynie z samych utworów jubilata. Tak więc 2-go października odegrają „Panie kochanku," w następny wieczór „Miód kasztelański," a wreszcie „Radziwiłł gościem." Helena Modrzejewska przybędzie umyślnie w tym celu z Londynu, a co zasługuje na uznanie, iż znakomita artystka nie zapraszana przez nikogo, z własnéj woli przyrzekła wziąć udział w tych przedstawieniach. Przytem znany z występów u nas Bolesław Ładnowski i sędziwy Rychter, każą się spodziewać, iż przedstawienia te tworzyć będą harmonią, odpowiednią do wysokiego nastroju całéj uroczystości.

Obchód zakończy bal wydany przez miasto a mający się odbyć w dolnéj sali podniesionych z gruzów Sukiennic.

. . . .

Co do owych świeżo odrestaurowanych Sukiennic najsprzeczniejsze chodzą wieści o estetycznéj i praktycznéj wartości ich nowego wykonania. Planodawcy i wykonawcy tychże p. Prylińskiemu czyniono najróżniejsze zarzuty, a nawet wręcz odmawiano mu wszelkich zdolności jako budowniczemu.

To w każdym razie trochę za wiele, ale z drugiéj strony i wad tamże znajdzie się niemało.

Mieliśmy przed kilku laty sposobność oglądania planów mających się budować Sukiennic. Plany te były cackiem pod względem wykonania rysowniczego, zachwycały na oko malowniczością i zdawały się odpowiadać wszelkim wymaganiom estetyki, że jednak potrzebowały bliższego obejrzenia i wielu poprawek, pokazuje się dzisiaj, gdy restauracya gmachu dobiega do końca. Faktem bowiem jest, iż na zewnętrzną galeryę ciągnącą się po obu stronach gmachu, w planach tych wejść brakowało, i dopiero teraz spostrzegłszy pomyłkę, zaczęto je wybijać. Stara to prawda, iż wiele rzeczy inaczéj wygląda na papierze, inaczéj zaś po skończeniu, w użyciu; sędziowie jednak i znawcy, którzy orzekali przed kilku laty o planach p. Prylińskiego, nie powinni się byli tak łatwo omylić. Nie można bowiem powiedzieć, iżby całość odnowionego gmachu bardzo świetne sprawiała wrażenie, przeciwnie uderza w niéj dziwna mieszanina stylów, niesmaczny chaos w konturach, a także i rażąca gra użytych kolorów czerwonego i żółtego.

Zresztą, co głowa to inny rozum i gust inny; wypowiadamy własne zdanie, jedźcie i osądźcie...

. . . .

Niestrudzony mistrz sztuki polskiéj, Matejko, wykończył znowu dwa obrazy historyczne, niewielkich wprawdzie rozmiarów, ale jak zwykle, niezrównanéj wartości i świetności w wykonaniu. Treścią jednego z nich jest kłótnia małżeńska, Leszka Czarnego z żoną swoją Gryfiną, która to kłótnia potrzebowała aż rozsądzenia książąt, pomiędzy którymi znalazł się i Bolesław Wstydliwy. Jest to pyszna scena komedyi domowego pożycia z przewrotną niemką, a postać zagniewanéj i rozzłoszczonéj żony Leszka, ma być oddana z niedoścignioną werwą i komiką.

Drugi obraz opiera się na sporze dziejowym o ziemię Chełmińską i Pomorze, pomiędzy Władysławem Łokietkiem a mistrzem Krzyżackim Karolem z Lenburga, z którego to sporu wynikła późniéj bitwa pod Płowcami. Na obrazie schwycona jest właśnie chwila, gdy Władysław Łokietek wskazuje Krzyżakom na miecz, jakby mówił, iż tym tylko sposobem spór ten zostanie rozstrzygniętym.

Oprócz tych dwóch obrazów, Matejko wystawi podczas Jubileuszu w salach Sukiennic świeżo także wykończone portrety własnych swych dzieci. Obrazowi temu znawcy również wielkie oddają pochwały.

. . . .

Wiadomość o tych obrazach, przyszła właśnie jakby na pocieszenie, gdy dowiedziano się o stracie, jaką sztuka polska poniosła przez śmierć Aleksandra Gryglewskiego w Gdańsku. Niedościgniony ten malarz-perspektywista, od śmierci swéj żony cierpiał napady melancholii i w jéj przystępie wyskoczył oknem z ratusza w Gdańsku, gdzie zajęty był odtwarzaniem starych malowideł historycznych.

Ś. p. Gryglewski, zdolny profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie, zostawił dwoje nieletnich sierot.

. . . .

I drugą stratę, choć innego już znaczenia mamy do zanotowania.

W dwóch pożarach dnia 22 i 24 czerwca, trzy czwarte części miasta Irkucka stały się pastwą płomieni, a spłonął także do szczętu kościół katolicki. Jedyny ten kościół i jego zabudowania, ogień zniszczył tak dalece, że na placu kościelnym nic nie pozostało, oprócz rumowiska gruzów i stosu popiołów. Z narażeniem życia wyratowano z płomieni bieliznę i ubiory kościelne, meble zaś i reszta własności tak prywatnéj jak kościelnéj, uleciały z dymem.

„Nie potrzebuję mówić, pisze Proboszcz tegoż kościoła ks. Szwernicki, w naszych gazetach, jak szczupłe są fundusze i dochody parafii Irkuckiéj; jeżeli nas nie wesprze Opatrzność, to musimy się przygotować na straszną nędzę, pozbawieni dachu i możności odbudowania spalonych siedzib. Ufam w szlachetność serc pobożnych, że słowa niniejsze znajdą oddźwięk u wszystkich, i że każdy chętnie pośpieszy z ofiarą wedle sił i możności, ku wzniesieniu na nowo kościoła w Irkucku, jako przystani moich licznych ale biednych parafian. W ich to imieniu zanoszę prośbę do wszystkich, i ufam, że głos mój będzie wysłuchany.

Czyż potrzeba cokolwiek dodawać do tych pokornych słów prośby kapłana?...

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie wizytowe. Do sukni z ciężkiéj faille w jednym kolorze włożony stanik z baskiną z pekin-bareżu ciemniejszego od materyi koloru, w paski czarne, objęty z brzegów wypustką ze sznureczkiem, zapięty z przodu pod żabotem z koronki. Przód i boczne bryty sukni przykryte dwoma szerokiemi plisowanemi falbanami, na które od góry spuszcza się draperya marszczona z boków prosty bryt materyi upięty z tyłu nad trenami sukni. Szerokie plisy z tego co stanik materyału i kokardy z wstążki w dwóch cieniach, stanowią przybranie sukni w sposób wskazany na rycinie.

Ubranie wieczorowe. Suknia z blado niebieskiéj materyi faille ma spódnicę wykończoną tak samo jak opisana powyżéj; stanik do paska wycięty kwadratowo, ogarnirowany sutą riuszą fałdowaną wachlarzowo i przepinaną kwiatami. Przyozdobienie sukni stanowią szerokie szlaki haftowane jedwabiem i kokardy z wstążki w dwóch cieniach.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 11 Сентября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 39 r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Na bal Opery?... Z kim?...

— Z młodym lordem angielskim, wicehrabią Dynely.

Nastąpiło krótkie milczenie. W oczach Neapolitańczyka błysnął groźny, złowrogi ogień; cienkie usta zacięły się jeszcze silniéj.

— A więc prawdą jest co mi mówiono. Ten młody Anglik jest ostatnim z ptaszków któremu pani postanowiła oskubać piórka. Jest z nią wszędzie i zawsze; a namiętność jego dla niéj jest znaną wszystkim w Paryżu. Wszak prawda?

— Rzeczywiście, jest to głównym przedmiotem rozmowy w klubach, salonach, teatrach, nawet na ulicy. Czy wasza Ekscelencya życzy sobie abym powtórzył jakie o tem krążą pogłoski?

— Powtórz wszystko, co do słowa wszystko, Pujol'u.

— Mówią, Ekscelencyo, że jakkolwiek ten młody Anglik ma żonę, pani zamierza zerwać z waszą Ekscelencyą, a doprowadzić do tego aby lord Dynely z nią się ożenił. Mówią też że pani zachwycona piękną twarzyczką lorda, przeznacza waszéj Ekscelencyi rolę oszukiwanego męża, a jemu szczęśliwego kochanka.

Biała i chuda ręka księcia wsparta na poręczy fotela, zacisnęła się na niéj tak silnie że żyły wystąpiły na nią jak sznury, a z ust wyszła energiczna klątwa.

— Mów daléj, Pujol, odezwał się po chwili; opowiadanie twoje jest bardzo zajmujące. I ten Anglik przebywa u pani prawie ciągle, wszak prawda? Towarzyszy jéj wszędzie, i obsypuje ją książęcymi podarunkami.

— Tak, Ekscelencyo; Paulina mówiła mi że dostaje od niego przepyszne klejnoty. Lord Dynely odwozi panią zawsze z teatru do domu; bywa na wszystkich przyjęciach; codzień wyjeżdżają na spacer do lasku Bulońskiego lub na Pola Elizejskie, a wszystkie poranki przepędzają wspólnie w salonie pani. Dla żadnego jeszcze z licznych swych wielbicieli, których zaszczycała swymi względami, nie była tak łaskawą jak dla lorda Dynely. Mówią że lady Dynely umiera z zazdrości; wszyscy w Paryżu śmiejąc się zadają pytanie: jak się to skończy po powrocie waszéj Ekscelencyi.

— Paryż dowie się o tem wkrótce, odpowiedział książę chrapliwym głosem.

W całéj jego postawie widać jakiś złowrogi spokój; znikły wszelkie oznaki gniewu, tylko oczy połyskują jakimś szatańskim blaskiem.

„Jesteś nieocenionym dozorcą, Pujol; wynagrodzę cię za to. Pani nie wie nic o moim powrocie?

— Nie, Ekscelencyo. Dziś jeszcze słyszałem jak mówiła do lorda Dynely, że wasza Ekscelencya wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Szyderczy uśmiech przesunął się po ustach księcia.

— Wybornie! Tak więc korzystając z méj nieobecności, i nie domyślając się że jéj lokaj i panna służąca są to moi wierni sprzymierzeńcy, wybrała sobie tego Anglika na kochanka, zachwycona jego piękną twarzyczką, i cały Paryż szydzi ze mnie. Ale Anglikom znane zapewnie przysłowie: Koniec wieńczy dzieło; a ja nie jestem jeszcze mężem. Więc pani jest dziś na balu Opery? Czy nie wiesz o któréj zamierza wrócić do domu?

— O drugiéj, Ekscelencyo. Nie chce tam bawić dłużéj, aby mogła jutro rano wyjechać z nim wcześniéj do Saint-Cloud, gdzie zamierzają spędzić cały dzień.

W oczach księcia zabłyszczał znów ogień groźny, piekielny.

— Jak się pani ubrała?

— W czarne domino z żółtą kokardą na ramieniu.

— A lord Dynely.

— Jak na bal, a w dziurce od guzika ma żółtą różę.

Venturini spojrzał na zegarek.

„Pół do dwónastéj; mamy jeszcze dość czasu. Jak ci to już obiecałem, możesz być pewnym że sowicie wynagrodzę twoję wierność dla mnie. Jeźli powiedziałeś już wszystko to możesz odejść.

— Jeszcze chwilkę, Ekscelencyo. nie doniosłem jeszcze najważniejszéj rzeczy. Czy wasza Ekscelencya wie o tem że pani ma córkę?

— Co?...

— Pani ma córkę, już szesnastoletnią Angielkę, która obecnie znajduje się u pani.

Żółta twarz Neapolitańczyka pozieleniała! Był całkiem odurzony.

— Córkę!... Co ty mówisz, Pujol?

— Prawdę, Ekscelencyo. Córkę i męża. Córka jest przy niéj jak to już miałem zaszczyt powiedzieć. Mąż rozwiódł się z nią kilkanaście lat temu. Córkę przyprowadził do pani młody gentleman, pan Dennison, przyjaciel lorda Dynely, i od tego czasu bawi ciągle przy niéj, ale pani ma zamiar wysłać ją gdzieś przed powrotem waszéj Ekscelencyi. Mąż był raz tylko i nie długo zabawił. Oto jego bilet wizytowy.

Położył bilet na stole, przed księciem. Gordon Caryll, przeczytał Venturini, ale jest tak odurzony że to nazwisko nic mu na myśl nie przywodzi. Nagle światło zabłysło w jego umyśle. Przypomniał sobie obraz przedstawiający *Zmrok*, uderzające podobieństwo znajdującéj się na nim kobiety z Felicyą, która tak gorąco pragnęła nabyć obraz za jakąbądź cenę i nazwisko malarza znanego najprzód pod nazwiskiem Gordona Locksley, a następnie Gordona Caryll.

Jak wszystkim tak i jemu znane były dzieje życia Caryll'a; słyszał o jego szalonem ożenieniu się, skandalicznym rozwodzie, o jego długiéj tułaczce zdala od domu i kraju, a teraz Pujol uwiadamia go, że Felicya, ta kobieta którą on zaszczycił ofiarą swéj ręki, jest właśnie tą osławioną bohaterką owego rozwodu.

Siedział przez chwilę nieruchomy, jakby skamieniały, ale myśl jego pracowała. Pujol nigdy się nie myli; nie donosi mu nigdy nieudowodnionych faktów. Więc kłamała przed nim, kłamała od najpierwszéj chwili, a teraz jeszcze chciała go uczynić celem żartów i szyderstwa, ofiarą swéj przewrotności. Ale książę Venturini łatwiéj zniósłby wszystko zresztą, nad tę myśl że kobieta którą on kocha wystawia go na śmieszność i żartuje sobie z niego.

„Ha! mruknął, zobaczymy. Cóż daléj, Pujol; widzę to coraz lepiéj że posiadam w tobie skarb nieoceniony.

Zachęcony tem Pujol, mówił daléj zimno i poważnie. Opowiedział jak Dennison przyprowadził do Felicyi, już około północy, młodą panienkę która zabłądziła na ulicy, i że Felicya przyjęła ją natychmiast, a Paulina spełniła wiernie swój obowiązek, podsłuchując z natężoną uwagą całéj rozmowy matki z córką, którą następnie powtórzyła mu dosłownie. On zaś, Pujol, spisywał ją w miarę jak mówiła, i może przeczytać księciu.

Mówiąc to rozłożył ćwiartkę papieru, i zaczął czytać wolno, wyraźnie, całą tę krótką rozmowę, w któréj Donny przypominała Felicyi jéj obowiązki jako matki, a Felicya uznała ją za córkę, zastrzegając wszakże ścisłą co do tego tajemnicę, i w któréj postanowiono że Donny będzie uchodzić za jéj daleką kuzynkę. Po przeczytaniu wszystkiego, Pujol złożył starannie papier i podał go księciu. Venturini zwrócił ku niemu twarz trupio bladą i zapytał:

„Więc ta dziewczyna jest tam jeszcze?

— Tak, Ekscelencyo, ale ma już tylko parę dni pozostać. Ona i pani posprzeczały się z sobą.

— A! przyszło do kłótni; z jakiegoż powodu?

— Z powodu pana Dennison'a. Pan Dennison był onegdaj, był wczoraj, i za każdym razem prosił aby mógł zobaczyć się z młodą panienką którą spotkał na ulicy. Pani pozbywała go zawsze kłamstwem, mówiąc że panienka ta była cierpiąca i nie chciała się z nim widzieć. Paulina powtórzyła to pannie Donny, która jak widać, bardzo właśnie pragnie zobaczyć się z gentlemanem który nie odmówił jéj swojéj opieki, a ta uniesiona gniewem, pobiegła do pani i zaczęła jéj wyrzucać to kłamstwo; pani zaś nie jest przyzwyczajona do tego aby jéj ktoś przyganiał, i ma także, jak to wiadomo waszéj Ekscelencyi, bardzo gwałtowny charakter, wybuchła więc złością i wyłajała bardzo pannę, która znów nie posiadając się z gniewu, chciała uciec z domu, ale została przytrzymaną przez Paulinę, podsłuchującą jak zwykle. Następnie pani powiedziała Paulinie że ta panna ma pomieszanie zmysłów; że jéj obłąkanie objawia się tem iż jéj się przewiduje że jest córką pani; że to było powodem jéj ucieczki od krewnych, i że jest zmuszoną trzymać ją przez parę dni zamkniętą, dopóki nie będzie mogła odesłać jéj do tychże krewnych. Strasznie było patrzyć na objawy gniewu panny Donny, ale pomimo to została zamkniętą w swoim pokoju, gdzie też dotąd siedzi. Nie chce ani jeść ani mówić, tylko leży nieruchoma jak posąg. Pani ma ją odesłać już pojutrze, ale gdzie, tego nie mogła jeszcze dowiedzieć się Paulina.

Pujol zamilkł, a Venturini na którego trupiobladéj twarzy malowała się zacięta nienawiść, zapytał jeszcze:

— Czy Paulina słyszała także rozmowę między panem i panią Gordon Caryll?

— Co do słowa, Ekscelencyo, i równie jak poprzedzającą spisałem ją według jéj opowiadania. Czy mam ją przeczytać?

Venturini skinął twierdząco głową, i Pujol czytał ten drugi raport, podczas gdy książę siedział nieruchomy słuchając go z największą uwagą. Nie mógł już mieć najmniejszéj wątpliwości, Felicya oszukiwała go, kłamała bezczelnie. Mąż! córka! kochanek! On wystawiony na śmiechy żartownisiów... Kiedy Pujol położył drugi swój raport na stole, twarz księcia pałała wściekłym gniewem.

— Czy to już wszystko? zapytał.

— Tak, Ekscelencyo.

— Mówiłeś że ta dziewczyna jest jeszcze zamknięta w mieszkaniu pani, i że pani powróci z balu około drugiéj? Nie odchodź jeszcze, Pujol, zaczekaj chwilkę.

Wsparł głowę na ręce i zamyślił się głęboko. Po tem rzekł podnosząc głowę.

— Pójdę z tobą, Pujol; najprzód do téj dziewczyny, a następnie do Opery. Jestem nader zadowolniony że oboje z Pauliną wypełniliście tak dokładnie swoje polecenia. Idź, zawołać mi fiakra.

Pujol skłonił się nizko, i poszedł spełnić rozkaz księcia. Venturini sam pozostał. Nie powątpiewał ani na chwilę o prawdziwości tego co usłyszał; wypróbował bowiem już oddawna wierność Pauliny i Pujol'a. Już przed tem zrodziły się w jego umyśle pewne podejrzenia co do Felicyi, które teraz, zmieniły się w pewność. Książę Venturini nie należał do rzędu tych ludzi którzy mogą puścić bezkarnie zdradę, czy to ze strony mężczyzny czy też kobiety. Twarz jego jest ciągle przerażająco blada, a oczy błyszczą tak dziko jak oczy człowieka zamierzającego popełnić morderstwo.

„Mąż który się z nią rozwiódł; córka którą ukrywała starannie, kochanek dla którego mnie zdradza! powtarzał zaciskając zęby, i wszyscy w Paryżu drwią i szydzą ze mnie! Dziś na balu Opery, jutro w Saint-Cloud. bo książę wróci dopiero za tydzień! Gotowa treść do komedyi.

Roześmiał się, ale śmiech jego przykro raził uszy, po tem wstał i zaczął się ubierać. Fiakr czekał już przed drzwiami: wsiadł do niego i pojechał do Felicyi.

Rozdział XVII.

Na balu Opery.

„Nienawidzę jéj!... Nie żałowałabym gdyby umarła!... O! po co opuściłam Szkocyę, po co weszłam do tego strasznego więzienia... do téj okrutnéj kobiety? Zamorzę się głodem jeżeli inaczéj nie zdołam odzyskać wolności. O tak! lepiejby mi było umrzéć niżeli dostać się tutaj!

Takie to skargi wychodziły z ust Donny w ciągu ostatnich dwóch dni, w których była uwięziona w swoim pokoju. Do Pauliny która przynosiła jéj pożywienie, nie chciała przemówić nigdy jednego słowa; siedziała milcząca i nieruchoma jak posąg wykuty z kamienia. Nie zadawała żadnych pytań, nie odpowiadała na żadne i nic prawie nie jadła.

Niekiedy jednak namiętne usposobienie odziedziczone po rodzicach, objawiało się w całéj swéj sile; wtenczas krzyk jéj rozlegał się w pokoju, uderzała pięściami w drzwi i okiennice, aż krew z rąk jéj płynęła, a w końcu zmęczona i bezsilna upadała na posadzkę.

Wszyscy w domu Felicyi wiedzieli, że biedna dziewczyna krzycząca i szamocząca się w zamkniętym pokoju była obłąkaną, i że za parę dni ma być odwiezioną do jakiegoś zakładu leczniczego.

Siedzi teraz na posadzce skurczona i bezsilna, z głową wspartą na łóżku. Przez cały dzień wydobywały się raz po raz z jéj piersi jakieś dzikie krzyki, i drobnemi jak u dziecka rączkami, starała się wysadzić drzwi szczelnie zamknięte.

Nerwy Felicyi nic na tem nie ucierpiały; cały ten dzień spędziła na świeżem powietrzu, wśród lesistych pagórków i łąk Saint-Cloud, z pięknym lordem Dynely i bladą wdową pastora.

Córka jéj tymczasem czyniła rozpaczliwe lecz próżne usiłowania aby się wyswobodzić ze swego więzienia. Już północ się zbliża a ona siedzi na ziemi nieruchoma, zmęczona, bezsilna. Twarzyczka jéj bardzo blada, a ogniste oczy błyszczą jakimś dzikim blaskiem; czarne włosy spadają niedbale na ramiona.

„Gdyby on tu był, pomyślała wzdychając smutnie, uwolniłby mnie z pewnością. O! czemuż tu przyszłam, czemu nie zostałam z nim owéj nocy! On był tak dobrym i troskliwym o mnie, byłabym przy nim szczęśliwą.

Myśli o Dennison'ie którego obraz stanął przed jéj oczyma. Widzi znów jego poczciwe spojrzenie, szczery uśmiech i siłę męzką w połączeniu z kobiecą dobrocią, i serce jéj przyzywa go na pomoc w nieszczęściu, jak gdyby przez całe życie był jéj przyjacielem.

„Chciał się ze mną widzieć, dwa razy pytał się o mnie, a ona za każdym razem skłamała: że jestem słaba, że nie chcę się z nim widzieć. Uderzyła mnie. O! nienawidzę jéj... nienawidzę...

Położyła ręce na łóżku, po tem twarz w nich ukryła, i biedna zrozpaczona Donny długo pozostała w téj postawie.

Wkrótce zamknęła oczy i wpadła w jakiś stan pośredni pomiędzy snem a czuwaniem. Zaczęło jéj się marzyć że Terry Dennison przybył jéj znów na pomoc, z tym dobrotliwym uśmiechem który wyrył się tak dobrze w jéj pamięci; słyszała wyraźnie jego kroki na schodach, słyszała jak otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Nagle światło zabłysło w pokoju; otworzyła oczy, i spostrzegła mężczyznę trzymającego w ręku świecę i wpatrującego się w nią; ale niestety! nie był to Dennison.

„Cicho!... rzekł ten człowiek kładąc palec na ustach i zamykając drzwi wolno, ostrożnie. Nie krzycz pani, nie mów ani słówka. Jestem przyjacielem; przychodzę panią uwolnić; ale musisz uspokoić się pierwéj.

Patrzyła na nieznajomego nie podnosząc się z ziemi, a w jéj czarnych, szeroko otwartych oczach malował się wyraz zadziwienia i niedowierzania.

„Kto pan jesteś? zapytała.

Był to mały człowieczek z cerą żółtą, z powierzchownością pańską, ale spojrzenie jego nie podobało się Donny.

— Jestem przyjacielem, jak to już powiedziałem, i przyszedłem cię uwolnić, biedne dziecko, a przysłał mnie tu gentleman który cię tu przyprowadził, pan Dennison.

Wyprostowała się nagle posłyszawszy to nazwisko, jakby dotknięta iskrą elektryczną.

— O! panie, zaprowadź mnie, zaprowadź do niego, zawołała z żywością. On jest tak dobry, o! tak dobry. Wyzwól mnie z tego strasznego domu, wyrwij mnie z rąk téj okrutnéj kobiety i oddaj mnie pod jego opiekę.

— Cicho! cicho!... odpowiedział, mógłby ktoś usłyszéć. Tak, zaprowadzę panią do niego, ale pierwéj powiedz mi, czy Felicya jest twoją matką.

— Dla czego pan pytasz się o to? rzekła niecierpliwie. Cóż to ma wspólnego z mojem uwolnieniem? A! pozwól mi wyjść natychmiast.

— Musi to być potrzebne skoro pan Dennison zalecił mi abym przedewszystkiem dowiedział się w tym względzie prawdy. Byłby sam przyszedł, ale wiesz sama, panno Donny, że Felicya mu nie ufa, że nie chce pozwolić aby się z tobą widział, z obawy abyś mu nie odkryła prawdy.

— Wiem, wiem, przerwała niecierpliwie. Skłamała przed nim, powiedziała mu że nie chcę się z nim widzieć, kiedy ja przeciwnie tak gorąco tego pragnę. Wybiła mnie i zamknęła w tym pokoju, i nie cierpię jéj za to.

Zacisnęła ręce, a oczy jéj błysnęły posępnym blaskiem.

— Co pan chcesz wiedzieć? Powiem wszystko, wszystko bez wyjątku, bylebyś pan wyprowadził mnie ztąd i oddał pod jego opiekę.

— Opowiedz mi, panno Donny, wszystkie szczegóły swego życia. Felicya jest twoją matką, wszak prawda? Jesteś do niéj bardzo podobna. Kto jest twym ojcem i gdzie się teraz znajduje?

— Nie znam go; chciałabym poznać; poproszę pana Dennison'a aby mnie do niego zaprowadził. Ona jest moją matką, o! tak, na nieszczęście! Urodziłam się w Kwebeku, przeszło szesnaście lat temu. Ojciec mój rozwiódł się z Felicyą, ale nie wiem z jakiego powodu. Joanna powiedziała mi o tem. Joanna pielęgnowała mnie od pierwszéj chwili mojego życia; matka zostawiła mnie przy niéj a sama odjechała. Joanna była dla mnie bardzo dobrą, ale już umarła i dla tego tu przyjechałam. Prawdziwe jéj imię jest Rozamunda, a nie Felicya. W tym czasie kiedy ja przyszłam na świat, przybrała nazwisko Gordon, a mój ojciec nazywał się Gordon Caryll. Nie wiem czy jeszcze żyje, lub czy już umarł; Joanna nie wiedziała tego. Powiedziałam już wszystko, a teraz wyjdźmy ztąd jak najprędzéj.

Nieznajomy dał jéj znak ręką aby się zatrzymała.

— Jeszcze nie dziś, moja mała. Już zapóźno abyś mogła wyjść na ulicę, ale będziesz wolną i to wkrótce; możesz spuścić się na moje słowo.

Po tych słowach, zanim jeszcze zadziwiona Donny zrozumieć je mogła, mały człowieczek wysunął się za drzwi, klucz zakręcił się w zamku i biedna dziewczyna znalazła się znów sama w swojem więzieniu.

Bal w Operze przedstawiał się świetnie. Cały gmach był rzęsisto oświetlony, a w sali, światło olśniewało oczy. Powietrze było ciężkie od kwiatów, perfum i tłoku.

Był to okazały obraz życia paryzkiego przy świetle gazu, urzeczywistnienie opisów „Tysiąca i jednéj nocy" z powieści arabskich, coś niezwykłego, upajającego, wprawiającego w odurzenie.

Wśród tłumu przesuwał się mężczyzna nizki i chudy, z pod którego maski wyglądały tylko czarne i błyszczące ponurym ogniem oczy; chodził sam jeden, a z ruchów jego można było poznać że kogoś szuka.

Dostał się tak w sam środek tłoku, i wsparty o filar, przyglądał się uważnie fantastycznemu widokowi, rozwijającemu się przed jego wzrokiem.

Nagle zadrżał i odetchnął ciężko, znalazł nakoniec czego szukał.

W kółku tancerzy na pół pijanych zobaczył czarne domino z żółtą kokardą na ramieniu. Mężczyzna tańczący z kobietą ubraną w to domino, miał na sobie ubiór balowy i żółtą różę w dziurce od guzika. Było coś przypominającego bachantkę w ruchach téj kobiety tańcującéj właśnie walca, a przesuwając się około małego człowieczka roześmiała się głośno. Ten śmiech był mu dobrze znany, nie pierwszy raz go słyszał. Jastrząb upatrzył już zdobycz, i od téj chwili nie spuszczał jéj już z oczu.

Po skończonym walcu, domino wsparte na ramieniu tancerza odeszło w róg sali gdzie stały egzotyczne kwiaty, światło było łagodniejsze, tłok mniejszy, a wygodne ławki zachęcały do spoczynku. Nizki człowieczek szedł zdaleka za nimi. Kobieta usiadła i zaczęła chłodzić się wachlarzem.

„Ah! jakże gorąco! zawołała. Eryku, przez litość przynieś mi lodów. Ostatni walc był nieporównany, jesteś doskonałym tancerzem! Będziemy jeszcze tańczyć razem *Walca Róż*, a potem odjedziemy. Eryku, przynieśże mi lodów jeżeli nie chcesz abym tu umarła.

Zdjęła maskę i ukazała się piękna i ożywiona twarz Felicyi.

Jéj towarzysz wstał chcąc zadość uczynić jéj żądaniu, i szepnął jéj kilka słów, które znów wywołały jéj śmiech dźwięczny i wesoły.

„Dajże pokój, Eryku; wiem ja dobrze co warte twoje czułe słówka. Zresztą bardzo gorąco, a ja zbyt jestem zmęczona aby mnie wzruszyć mogły. Idź lepiéj po lody.

Odszedł. Kiedy wracając wymijał ostrożnie tańcujące pary, nizki człowieczek wpadł na niego, nagle, i potrącił tak silnie, że kubek z lodami wypadł mu z ręki i poplamił jego ubranie.

„Najmocniéj pana przepraszam! zawołał mały człowieczek z nizkim ukłonem i szyderczym uśmiechem; pomimo że jesteś tak niezgrabnym, bardzo żałuję że poplamiło się pana ubranie, ale...

Głośny wybuch śmiechu ze strony rozweselonego tłumu przerwał mu to dziwaczne przeproszenie; lecz w téj saméj prawie chwili uderzenie pięścią zadane przez Eryka według wszelkich zasad sztuki, powaliło małego człowieczka na ziemię. Ze wszystkich stron zaczęli zbiegać się ciekawi i otoczyli ich w koło. Wszelkie kłótnie i bójki mają w sobie jakąś siłę przyciągającą, która oddziaływa na ludzi wszelkich stanów i narodowości. Mały człowieczek zerwał się z krzykiem wściekłego gniewu, ale zanim stanął jeszcze na nogach, powtórne uderzenie rzuciło go znów na posadzkę.

„Skoro moje ubranie już splamione, rzekł zimno lord Dynely, mogę nie zważać na to że poplami się bardziéj. Wstań pan, a nauczę go, jak się chodzi po sali balowéj nie potrącając innych.

— Eryku, odezwał się głos Felicyi, która zbliżyła się włożywszy napowrót maskę, co się tu stało?

— Nie mam przyjemności znać tego pana, ale pomimo to chcę go nauczyć...

Zatrzymał się, gdyż krzyknęła przerażona chwytając go za rękę; poznała kto był przeciwnikiem Eryka. Venturini zerwał się powtórnie, oczy jego błyszczały jak oczy tygrysa, zerwał z twarzy maskę i patrzył na nich groźnie.

— Tak, nie omyliła się pani, to ja jestem. Powiedz pani moje nazwisko swemu kochankowi; wkrótce poznamy się z sobą bliżéj. Wszak mam zaszczyt mówić z lordem Dynely?

Mówił po angielsku, aby nie być zrozumianym przez otaczających. Eryk, zmieszany tem niespodziewanem spotkaniem, ukłonił się pochylając lekko głowę.

— Milordzie, jutro rano dwóch moich przyjaciół porozumie się z tobą, rzekł Venturini prędko i cicho. Słyszałeś pan już o mnie z pewnością, jestem książę Venturini. Z panią, dodał kłaniając się Felicyi, zobaczymy się później.

Zanim którekolwiek z nich zdołało odpowiedzieć choćby jedno słowo, odwrócił się, znikł w tłumie, i opuścił salę balową. Dosięgnął zamierzonego celu, nie potrzebował pozostawać dłużéj.

Tłum się rozpierzchnął, niezadowolony że widowisko skończyło się tak prędko. Felicya i lord Dynely spoglądali na siebie zmieszani i milczący; wkrótce jednak Felicya wybuchła głośnym śmiechem.

— Doprawdy, Eryku, to dość zabawne; zupełnie jak bywa w komedyach. Pani szuka rozrywki w czasie nieobecności pana, a pan szalejący z zazdrości ukazuje się nagle. Jakaż to będzie jutro scena!... Ten biedny Venturini jest zazdrosny jak Otello, a ja mu przyrzekłam gdy odjeżdżał że już nigdy nie będę zalotną. Ma być jeszcze jeden walc, czy będziemy go tańczyć, czy też...

— Ma się rozumieć że będziemy, odpowiedział Dynely. Tańczyć z panią walca to zbyt wielka przyjemność aby jéj się można było wyrzec dobrowolnie.

Odezwały się melodyjne dźwięki *Walca Róż*, i zaczęli tańczyć z sobą. Zgadzali się doskonale; Felicya jest wprawną tancerką, i stopy jéj zaledwie dotykają ziemi. Dynely miał słuszność mówiąc że tańczyć z nią walca jest wielką przyjemnością. Kiedy skończyli, okrył ją starannie i zaprowadził do powozu. Wychyliła się przez drzwiczki, i przy świetle gazu mógł raz jeszcze zobaczyć jéj twarz uroczą, ożywioną uśmiechem błąkającym się po jéj rumianych ustach i rozpromieniającym oczy.

„Czy pojedziemy jutro do Saint Cloud, jak mieliśmy zamiar, lub też?...

— Pojedziemy, odpowiedział z żywością. Wszyscy zazdrośni Włosi nie zdołają przeszkodzić naszéj jutrzejszéj wycieczce.

Zdjęła rękawiczkę i podała mu rękę którą ucałował namiętnie. Roześmiała się znowu tym dźwięcznym, srebrzystym śmiechem który on tak lubił; po tem powóz ruszył. Cyrce odjechała, a jéj ofiara pozostała sama wśród zimnéj nocy.

Rozdział XVIII.

Po balu.

Chłód nocy ostudził szał Eryka i przywrócił mu rozwagę: zrozumiał że w każdym razie ten upajający związek zostanie rozerwanym.

Prawdopodobnie jutrzejsza wycieczka do Saint-Cloud będzie jego zakończeniem, bo narzeczony Felicyi, książę Venturini, został znieważonym i zechce pomścić się krwawo za tę zniewagę.

Słynął on z odbytych już pojedynków: zabił trzech przeciwników, a zaraz po tem zapalił z zimną krwią cygaro i odszedł spokojnie, podczas gdy jego ofiara leżąc na murawie pasowała się ze śmiercią w konwulsyach konania. Nie ma sobie równego co do robienia bronią i celności strzałów.

Dynely słyszał o tem nie raz od czasu zawiązania znajomości z Felicyą, sam zaś nie ma żadnéj wprawy w fechtowaniu, a może ze trzy razy przez całe życie strzelał z pistoletu. Pomimo to postara się o sekundantów, a pojutrze on i Venturini spotkają się z sobą w lesie Medońskim.

Lord Dynely nie był wcale tchórzem. Życie może być bardzo miłą rzeczą, ale jeżeli ktoś jest odważnym potrafi dość spokojnie pogodzić się z tą myślą że wkrótce utracić je może. Ażeby obawiać się śmierci, trzeba lękać się przyszłego życia, Eryk zaś, jak większa część jemu podobnych ludzi oddanych całkiem zmysłowym uciechom, dotąd nie pomyślał nigdy o tem, co go po za grobem czekać może.

Zresztą zastanowiwszy się nad tem dobrze, to życie jego obecne, jakkolwiek pełne blasku, zbytku i różnorodnych uciech było także nużące, i nie było znów co tak dalece przerażać się myślą że trzeba się będzie z niem pożegnać. Tego zaś że je utraci z pewnością skoro spotka się z Venturinim w lesie Medońskim lub Vinceńskim, był równie pewnym jak i tego że zapalił świeże cygaro i wraca do domu.

Tak, życie w końcu staje się ciężarem, i on już czuje się niem znużony. Zachwycił się piękną twarzyczką i błękitnemi oczami Izy; zaślubił ją, i w parę tygodni już go nudzić zaczęła.

Wszystko sprzykrzy się w końcu; wino, konie, karty, kobiety, bale, słowem wszystko na tym nudnym świecie, nawet piękne baletniczki z cerą śniadą, z czarnemi oczyma posiadającemi odbłyski topazów, po kilku tygodniach znajomości i kilku tysiącach funtów wyrzuconych na podarki, w zamian za ich ogniste, przyciągające spojrzenia, i ponętne uśmiechy.

Vanitas vanitatum! Ta maksyma wypowiedziana przed tylu wiekami, jest, niestety! mylnie zrozumiana i powtarzana przez złotą młodzież dzisiejszą.

Pojutrze wszystko się już skończy. W dniu jutrzejszym ostatni raz przepłyną Sekwanę. Nad ich głowami słońce będzie ciskać na ziemię snopy swych promieni; pod ich stopami będą się toczyć błękitne fale rzeki; słuch ich będą pieście dźwięki muzyki, a on będzie patrzyć w czarne palące oczy.

Na drugi dzień, równo ze świtem odbędzie się pojedynek; dwa wystrzały przerwą głęboką ciszę po tem książę neapolitański opuści jak najśpieszniéj granice Francyi, pozostawiając na zakrwawionéj murawie martwe zwłoki przeciwnika, zwrócone twarzą ku niebu, na którem zaledwie ukazywać się zaczną pierwsze dnia brzaski.

Wszystko to przesuwało się przed jego oczyma jak w żywych obrazach.

Następnie, w kilka tygodni późniéj, odbędzie się we Włoszech ślub, i czarne oczy z topazowemi odblaskami, już zawsze uśmiechać się będą do neapolitańskiego księcia. Co do człowieka zabitego w pojedynku, tego, stosownie do jego własnego przekonania czekać będzie tylko nicość!

Eryk wracał do domu wolnym krokiem, paląc cygaro i rozmyślając o tem. Trzeba będzie ukrywać wszystko starannie przed matką, żoną, i musi znaleźć koniecznie sekundantów. Może Boville: tak Boville i Livingstone nie odmówią mu tego. Jutro musi przedewszystkiem rozmówić się z nimi, a następnie odesłać do nich świadków Venturini'ego.

W innym razie byłby się udał prosto do Dennison'a, ale obecnie nie mógł nawet myśléć o tem, ponieważ zaszła pomiędzy nimi powtórna jeszcze żywsza sprzeczka, któréj powodem była także rażąca obojętność Eryka dla żony.

Sprzeczka ta wybuchła we trzy dni po nagłym wyjeździe Gordona Caryll. Eryk coraz silniéj zajęty Felicyą, o niéj tylko myślał i cały czas spędzał przy niéj; zrozpaczona tem Iza upadała pod brzemieniem boleści. Stosownie do woli lady Dynely, Terry pojechał z nieszczęśliwą Izą do lasku Bu

lońskiego, i tam spotkali się oko w oko z Felicyą, która oparta wygodnie o poduszki, ubrana w jedwabie, futra i koronki, uśmiechała się czule do Eryka, w téj właśnie chwili, kiedy powóz jego żony wymijał jéj powóz.

Spojrzenia tych czterech osób spotkały się na chwilę, potem powozy się minęły, ale śmiech Felicyi doszedł do uszu Izy i Terrego.

„Doprawdy, Eryku, śmieszne dla ciebie spotkanie, zawołała, rozweselona. Ale co się stało panu Dennison? rzucił na mnie takie piorunujące spojrzenie!...

Iza cofnęła się w głąb powozu, z przytłumionym ale rozdzierającym krzykiem, jak gdyby ktoś nożem ugodził ją w serce.

„Ah! Terry, wracajmy do domu, zawołała łkając.

Terry spełnił jéj życzenie milcząc, z namarszczonemi brwiami, błyszczącemi oczyma i zaciśniętemi ustami.

W cztery godziny później nastąpiła burzliwa scena w salonie lady Dynely. Iza cierpiąca fizycznie i moralnie zamknęła się w swoim pokoju, Eryk czekając na obiad czytał gazetę, kiedy Dennison wszedł i stanął naprzeciw niego.

„Dynely, zapytał z żywością, jak się to wszystko skończy?

Lord Dynely zaczerwienił się i spojrzał na niego.

„Jak się skończy, co takiego?... Czy potrzebuję prosić pana Dennison'a aby nie przybierał tak wyzywającego tonu kiedy przemawia do mnie?

— Twoje postępowanie, twoje niepojęte, rażące zapomnienie obowiązków względem żony... ja tego znieść nie mogę. To zbyt dla niéj ciężkie, okrutne; zabijasz ją, skazujesz na śmierć powolną. Wszyscy w Paryżu szydzą z twojéj bezrozumnéj i szalonéj namiętności dla téj staréj zalotnicy.

Rumieniec zniknął z twarzy milorda, która teraz pobladła z gniewu. Położył gazetę i odezwał się z pełnym groźby spokojem:

— Czy to z polecenia mojéj żony zadajesz mi to pytanie?

— Twoja żona nie wie nawet że tu jestem, wiesz o tem równie dobrze jak ja. Ale to musi się już skończyć, Eryku. Zabijasz, tak, zabijasz nielitościwie żonę dla téj Felicyi. Obsypujesz podarunkami tę bezwstydną i umalowaną zalotnicę, poświęcasz jéj całe dnie i wieczory, Iza umiera ze zmartwienia a ty nie widzisz nawet tego. Wszakże to upłynęło dopiero siedem tygodni od waszego ślubu! tak, tylko siedem tygodni.

Eryk wstał z oczyma pałającemi wściekłym gniewem, ale zanim otworzył usta, Dennison odezwał się znowu.

— Wstrzymaj się, rzekł, wysłuchaj mnie do końca. Przysięgłem że cokolwiek mógłbyś uczynić lub powiedzieć nie poróżnię się z tobą, i dotrzymałem przysięgi. Chęć rozpoczynania z tobą kłótni nie postała nawet nigdy w méj myśli, ale raz jeszcze powtarzam, Eryku, że to się skończyć musi.

— Doprawdy! Domyślam się że mówisz o mojem platonicznem uczuciu dla najpiękniejszéj kobiety w Paryżu. Czy mogę wiedzieć jaki znajdziesz na to sposób aby istnieć przestało?

— Na miłość Boską, Eryku, nie żartuj z tego! Mówię do ciebie jak przyjaciel, jak brat; nie możesz być zupełnie pozbawionym serca, nie może być abyś już wcale nie kochał Izy. Czy nie widzisz tego że ją zabijasz. Czy nie wiesz o tem że cię kocha miłością bałwochwalczą, że gotowa całować każden przedmiot którego dotknęła się twoja ręka, nawet ślady stóp twoich. Ona oddałaby chętnie za ciebie życie. Eryku, a ty nie dbasz o nią wcale, wystawiasz na śmiech lub politowanie gawiedzi; znieważasz ją miłością dla téj nikczemnéj kobiety; rozdzierasz jéj serce... gdybyś ją był widział po tem dzisiejszem spotkaniu...

Zatrzymał się i milczał przez chwilę.

— Nie sprzeczajmy się, Eryku, dodał przytłumionym głosem. Bóg widzi że nie chciałbym mieszać się w twoje sprawy ani też wskazywać jakbyś powinien postępować, ale jestem poniekąd obowiązany czuwać nad szczęściem Izy; nasza dawna przyjaźń nadaje mi prawo...

— Prawo wzgardzonego wielbiciela! odpowiedział szydząc Eryk. Słuchaj Dennison'ie. Drugi to już raz dotykasz tego przedmiotu, uprzedzam cię że nie pozwolę aby się to już kiedykolwiek powtórzyło. Słuchałem cię cierpliwie, bo nie chcę aby imię mojéj żony było wmieszane do skandalicznych wieści jakieby zaczęły krążyć w razie kłótni między nami, ale już ostatni raz znoszę to tak spokojnie. Bądź pan także łaskaw zaprzestać wszelkich wizyt u lady Dynely. Mógłbym jeszcze słusznie zwrócić uwagę pana, na rażącą niewłaściwość twego postępowania; jako wzgardzony wielbiciel, nie powinienbyś chcieć odgrywać roli *cavaliero servanto* przy mojéj żonie; ale mało mnie to obchodzi. Każę żonie aby nie przyjmowała pana u siebie, i sądzę że nie będzie śmiała sprzeciwić się méj woli. Od dnia dzisiejszego, panie Dennison, stosunki między nami zostają zupełnie zerwane.

Lord Dynely kończąc te słowa wyszedł z salonu, zanim Dennison zdołał coś odpowiedzieć, nie pozostawało mu więc nic więcéj jak oddalić się także. Jedynym wynikiem tego starcia była większa jeszcze oziębłość Eryka dla żony i jawniejsze jeszcze, o ile to być mogło, hołdy jego składane Felicyi.

Dennison i Eryk spotykali się później często z sobą, ale Dynely udawał zawsze że go nie widzi. Tak obecnie stały rzeczy pomiędzy tymi którzy wzrośli obok siebie jak dwaj bracia. Widać musi być prawdą co mówią: że jeżeli zrywają się węzły przyjaźni między mężczyznami, to powodem tego bywa zawsze kobieta.

Już dniało kiedy lord Dynely wszedł do siebie. Iza blada jak cień, spała. Jakieś przelotne uczucie zgryzoty odezwało się w duszy Eryka, gdy ją zobaczył tak zmienioną w kilka zaledwie tygodni po ślubie.

„Biedaczka! pomyślał, jeźli... jeźli pojutrze padnę ugodzony kulą, będzie to straszny cios dla niéj...

Nie chciał się położyć w łóżko sądząc że już nie uśnie. Rzucił się w ubraniu balowem na sofkę w przyległym gabinecie, i w dziesięć minut później zasnął głęboko.

Obudził się później jak zwykle; Iza siedziała przy nim i wpatrywała się w niego z wyrazem niewysłowionéj czułości. Zadrżała zmieszana, gdy otworzył oczy i zarumieniła się jakby dopuściła się jakiegoś względem niego przewinienia.

„Czekasz na mnie, Izo, rzekł wspierając się na łokciu. Spałaś już kiedy wróciłem, i nie chciałem cię budzić. Która godzina? Już dziesiąta!... Czy śniadanie gotowe? Mam widzieć się z jednym z moich znajomych i muszę wyjść prędko.

Wypił spiesznie herbatę, przebrał się i napisał do Bovile'a i Livingston'a, prosząc aby jak najśpiesznićj przybyli do niego. Następnie przyjmował u siebie dwóch Francuzów odznaczających się żołnierską postawą, którzy jednak nie bawili długo. Boville i Livingstone, nadchodzący wolno, minęli się z nimi na schodach.

„Cóż to za wojskowi wyszli od ciebie Dynely? zapytał Boville, i do czego u licha jesteśmy ci tak nagle potrzebni?

— Był to pan Raul de Concressault, kapitan żuawów i pan de Reigny, kapitan guidów. Przybyli tu jako sekundanci księcia Venturini, ja zaś przyzwałem was, prosząc o pośpiech, w tem przekonaniu że zechcecie być moimi świadkami.

— Do licha! zawołał Boville, siadając, lecz nie przyjmując cygara którym go Eryk częstował, przewidywałem że do tego przyjdzie. Ma się rozumiéć że powodem tego jest Felicya?

— Cóż w tem dziwnego; wiadomo przecie że piękniejsza połowa rodu ludzkiego, przyczynia się do wszelkich nieszczęść i morderstw na świecie? Nie potrzebuję zastrzegać że to jest jeszcze dla wszystkich tajemnicą, i że nie chcę aby kto bądź dowiedział się o tem.

— Bardzo słusznie, odpowiedział poważnie Livingstone. Ale wytłómacz mi, Dynely, jak się to stało. Wszakże książe miał przyjechać dopiero za tydzień?

— Tak sądziliśmy także oboje z Felicyą, odpowiedział Dynely z uśmiechem, a tymczasem zjawił się w sposób całkiem dramatyczny wczoraj, na balu Opery.

Lord Dynely opowiedział następnie w krótkości, z lekkim odcieniem gniewu, całe swe zajście z Venturinim.

— I wynikiem tego wszystkiego ma być pojedynek, odezwał się poważnie Boville. Czy wiesz o tem Dynely, że może nie ma w Europie człowieka tak doskonale robiącego bronią i strzelającego tak celnie jak Venturini?

— To już wszystkim wiadome, kochany Boville'u. Zapalże cygaro; możesz mi wierzyć że są dobre.

— A ty Dynnely? zapytał Livingston, przyjmując cygaro z rąk Eryka.

— Ja? Mam bardzo słabe wyobrażenie o fechtowaniu, a zaledwie kilka razy w życiu strzelałem z pistoletu.

— Ależ w takim razie, Dynely, nie ma dla ciebie najmniejszéj nadziei, jeżeli książe ma złe zamiary, a mogę cię zapewnić że je ma zawsze stając do pojedynku. Musiałeś słyszéć o tem że zabił już trzech przeciwników.

Dynely wzruszył ramionami.

— Proszę mi wierzyć że się dla tego nie cofnę. Weszłem dobrowolnie w ogień i przyjmuję tego następstwa. Dałem adres panu de Concressault, i jestem pewny że mi nie odmówicie tej przysługi.

— Tak, mamy dopomódz do spełnienia na tobie morderstwa, odpowiedział z żywością Boville. Czy nie możnaby jakim sposobem...

— Nie ta sprawa nie może być inaczéj zakończona jak pojedynkiem. Venturini po to jedynie przyszedł na bal aby mi ubliżyć; uczynił to, a ja uderzyłem go dwa razy. Sam musisz przyznać że nie ma innego sposobu wyjścia.

(d. c. n.)



Pl. 404.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.